Nr. 24. Warszawa, dnia 5 (17) Czerwca 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKA PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują. Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie prenumeraty.

POLITYKA.

Anglia i Pekin.

Angielska Izba gmin, uchwalając d. 10 b. m. budżet spraw zagranicznych, porozmawiała o polityce zagranicznej, a w niej poruszyła najgorętszą dziś sprawę zachowania się Anglii w Chinach wobec innych mocarstw, na równi z nią wnoszących do Państwa Niebieskiego dobrodziejstwa cywilizacyi europejskiej. Zwyczajem jest angielskim naganę polityki zagranicznej w parlamencie przyoblekać w formę odmówienia funduszów na jej prowadzenie: drobna nawet kwota wystarcza do wywołania skutku. — Tym razem liberalni wnieśli zmniejszenie etatu o 100 funtów. Zgóry poddali surowej krytyce wrzekomą korzyść, odniesioną przez Anglię w układzie z Rosyą w kwietniu r. b. Jeżeli już nie ważniejsze, rdzennie polityczne interesa,, to sama potrzeba zabezpieczenia handlu angielskiego domaga się większej u steru politycznego energii i jaśniejszej świadomości celów, do których się dąży. Rząd zachowawczy prowadzi raczej politykę oportunizmu, niż zasad; bierze, co się da: korzysta wprawdzie ze sposobności, ale przytem i poddaje się pod konieczność; zamiast działać z planem o szerokim promieniu, obraca się w małych kołeczkach drobnych korzyści; zamiast być panem okoliczności, jest ich niewolnikiem: a inni tymczasem działają, mają cele wytknięte i do celów tych dobrane stosunki i środki działania.

Taka jest najistotniejsza, pojęciowa treść zarzutów, poczynionych polityce rządu angielskiego przez opozycyę, która, gdyby sama u steru stała, możeby takich samych, jak zachowawcy, dopuściła się grzechów; znajdując się jednak na szczęśliwem stanowisku krytyki, nie zaniedbała z niego ogniem działowym nieprzyjaciela powitać.

Rząd angielski, wiedząc o napadzie, przygotował odpór. Sekretarz parlamentarny rządu w wydziale spraw zagranicznych, Brodrick, odpowiedział długą, przez gabinet cały roztrząśniętą mową. Zaczął od wyolbrzymienia tezy przeciwników; przedstawił ją w takiej postaci, jak gdyby opozycya żądała od Anglii położenia sekwestru na całym rządzie chińskim. Ową tezę przeciwników — mówił—przeprowadzićby można w rzeczywistości trzema drogami: przez Tsung-li-Jamen, samowolne rozrządzenie się i działanie w porozumieniu z innemi mocarstwami. To, co się dzieje w Chinach od pół roku, dostatecznie chyba przekonało każdego, że w Tsung-li-Jamenie nie należy szukać tej woli centralnej, której nakłonienie ku sobie byłoby potrzebnem dla polityki angielskiej, takiej, jakiej dopomina się opozycya. Drogą samowoli doszłoby się do wojny, której nawet chyba opozycya w warunkach odosobnienia nie pragnie. Pozostaje współdziałanie z mocarstwami: alež właśnie rząd na tę drogę wszedł, zawierając układ z Rosyą!

Mogłaby Anglia współdziałać z Niemcami, gdyby Niemcy nie miały więcej interesów odwodzących ich od współdziałania, niż skłaniających do niego. Interesa ich w Europie są i liczniejsze i poważniejsze, niż w Chinach. W konkretnych wypadkach można iść ręka w rękę; zasadniczego zespolenia ustalić niepodobna: niechaj opozycya spróbuje. Zdaniem rządu, najlepszą jest taka polityka, która trzyma wszystkie drzwi otworem, nie pozwala ich przed sobą zatrzasnąć i na dany wypadek stara się mieć niezbędną gotowość. Nie można rządowi zarzucać braku woli i energii, jeżeli, widząc w jakim stanie są Chiny i jak z ich teraźniejszości rozwijać się musi ich przyszłość, wyrobienie sobie sfery wpływu politycznego uważa już za cel prześcigniony przez obecne stosunki i wypadki, i wytyka sobie cele znacznie dalej leżące. W zakresie handlu — o który głównie chodzi przeciwnikom — rząd nie posunie się tak daleko, jakby oni tego pragnęli: nie dąży do zapanowania nad obszarem Jang-tse-kiangu, przedstawiającem trzecią część Chin, ale gotów jest do objęcia policyi na całej tej wielkiej rzece i nie ścierpi żadnej obcej władzy na porzeczu. Handel angielski coraz głębiej dociera, coraz szerzej się rozpościera. Nowe targowiska stają przed nim otworem. Na podstawie umowy tientsińskiej okręty angielskie dopływają do Nankinu, kanonierki nawet jeszcze dalej. Kupiec angielski ma nad sobą skuteczną opiekę swego rządu. Przyszłą kolej z Birmanii nad Jang-tse-kiang uważa gabinet za przeznaczoną dla kapitałów i towarów przeważnie angielskich.

W zakończeniu długiego swego wywodu Brodrick powrócił do umowy z Rosyą. Nietylko na dziś jest ona drogocenną—mówił — daje i na przyszłość szczęsną, wielce pożądaną wskazówkę. Niedowierzanie nie sprzyja porozumieniu. Ustępstwo, uczynione obcemu mocarstwu, bynajmniej nie uwłacza honorowi angielskiemu już przez to samo, że jest ustępstwem. Brodrick nie chce wierzyć, aby Rosya rzeczywiście zażądała od Chin prawa zbudowania drogi żelaznej do Pekinu. Rząd angielski chętnie zgadza się już z góry na budo-

wę wszelkich dróg żelaznych, otwierających Chiny dla handlu wszechświatowego; ale na tę żadną miarą przystać by nie mógł. Pekin jest ogniskiem politycznem Chin: w ich własnym przeto interesie Anglia, jeśli okoliczności zniewolą ją do tego, będzie musiała uczynić rząd chiński odpowiedzialnym za wszelki taki krok, któryby mógł a w danych warunkach i musiał— wydać Pekin w moc obcego jakiego mocarstwa."

Zakończył tedy Brodrick upomnieniem w stronę Chin, do grozy niebezpieczeństwa, jakieby na nie spaść mogło, dodając groźbę angielską. Czem ją wypełnia? Rozbiorem Chin. Mówi rządowi chińskiemu: „Brońcie się od zezwolenia na budowę, bo jeżeli się nie obronicie, jeśli utracicie Pekin, my, Anglicy postaramy się o to, abyście utracili jeszcze coś więcej." I oto cały sens tej brodrykowskiej retoryki i zarazem polityki dzisiejszego rządu angielskiego. Wskazówką na przyszłość jest umowa już zawarta przez zachętę do zawierania nowych, coraz głębszych, rdzenniejszych.

Tydzień polityczny. Na nowe wyścigi w ubiegłą niedzielę 11 b. m., już w Longchamps, nie w Auteuil, p. Dupuy tak dobrze zabezpieczył porządek, że od tego bezpieczeństwa sam się wywrócił. Zwołał policyę paryską prawie na pospolite ruszenie i wyciągnął ją od samego pałacu Elizejskiego aż do miejsca popisów koni i koniarzy. Sprowadził sędziego śledczego z pomocnikami i pachołkami. Zgromadził gwardyę republikańską w niezwykłej sile. Zrobił wszystko, — zrobił aż za wiele, a jednak nie zrobił co był powinien: nie nakręcił policyi tak, aby uderzała tylko tam, gdzie potrzeba. Na samej widowni jedynych uciech, zespalających arystokracyę z demokracyą, policyanci, sędzia, gwardziści, nie mieli co robić; ale opodal, w kawiarni Armenonville, przyszło do srogiej bójki, wszczętej przez jakiegoś monarchistę: tu obrzucano się nietylko szkłem, ale krzesłami i stołami. Elektryczność psychiczna wyładowywała się jeszcze w Paryżu, pod redakcyą *Libre parole* i na innych punktach.

Cięgi dostały się republikanom, demokratom i socyalistom, którzy właśnie współczuli i współdziałali z porządkiem. Za niedźwiedzią przysługę pociągnięto przed sąd w sejmie samego p. Dupuy. Ten postawił odrazu kwestyę zaufania. Odrzucił kilka formuł porządkowych, ale nie mógł zapobiedz przyjęciu formuły, opiewającej, że Izba „poprze taki tylko rząd, który bronić będzie instytucyj republikańskich." Było to wezwanie Loubeta do mianowania nowego gabinetu; 336 głosów przeciwko 177 nadało mu powagę rozkazu. Natychmiast też ministrowie osobiście zażądali w Elizeum dymisyi.

Nie same tylko wyścigi przyczyniły się p. Dupuy do upadku; republikanie nie ufali mu nigdy, tylko go cierpieli. Podejrzaną im była ostatnia, rewizyonistowska faza zręcznego człowieka. Loubet ma ciężki orzech do zgryzienia. Z dziesięciu kandydatów powołał Poincarego.

Statek z Dreyfusem odpłynął d. 10 b. m. z Kajenny.

D. 5 b. m. zebrał się sejm włoski, a nazajutrz oba berlińskie. Ces. Wilhelm przywiązuje wielką wagę do projektu zapowiedzianego zeszłego lata w Oeynhausen w Westfalii na ćwiczeniach wojskowych; zdaje się, że mu właśnie tego projektu nie uchwali sejm.

Konferencya w Hadze odrzuciła wniosek br. Münstera, aby ogłaszać krótkie protokóły posiedzeń. W komisyi pokoju delegat ces. Wilhelma, niejaki Zorn, zbijał angielski projekt stałego sądu rozjemczego i stanowczo oświadczył, że rząd niemiecki takiemu sądowi się nie podda.

Narady Krugera z Milnerem w Bloemfontein trwały dni kilka od 31 maja. Anglicy głoszą ich bezskuteczność. W Pretoryi Volksraad ma już projekty nowej naturalizacyi, nowych praw politycznych i zniesienia monopolu dynamitowego. Chamberlain, działający w zmowie z Cecylem Rhodesem, jest teraz w dotknięciu dość miękim. Na Przylądku ludność rdzenna, holenderska, odgraża się powstaniem.

W Hiszpanii kłotnia w obu Izbach sejmu — o winę i niewinność w nieszczęśliwej wojnie. Rzeczywiści wspólsprawcy niemocy i niedołęztwa, dawni jezuici — śpią spokojnie w grobach. Ale są i żywi pełni winy. Tylko — po co nad nimi miecze łamać? Z wielkiego bankiera — mały sklepikarz: to Hiszpania dzisiejsza. W dziejach nieszczęście większe jest zawsze od największej nawet winy.

Ugoda między Przedlitawią a Węgrami d. 10 b. m. nareszcie sklecona, do r. 1907.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

TOWARZYSTWA ROLNICZE.

W życiu ekonomicznem naszych ziemian chwila bieżąca jest ważną epoką. Po raz pierwszy bodaj wykazali oni dar organizacyjny w takim stopniu, jak obecnie. Korzystając z przysługujących im praw, nadanych drogą przepisów przez sfery ministeryalne, rolnicy nasi zaczęli zawiązywać w Królestwie Polskiem Towarzystwa rolnicze. Z tych rozpoczęły działalność trzy prawie jednocześnie. Jedno w Siedlcach, drugie w Radomiu, trzecie w Kielcach. Pierwsze dwa posiadają charakter spółek handlowych, trzecie — ogniska, skupiającego w sobie sprawy ekonomiczno-społeczne żywiołu ziemiańskiego. Związek siedlecki ma na celu usunięcie kosztownego pośrednictwa przy obrotach towarowych, nabywanych i sprzedawanych przez rolników. Jest to zadanie niezmiernie doniosłe, jeżeli zważymy, że dotychczas pośrednictwo wszelkiego rodzaju pochłania olbrzymią część zysków ziemian, uzależnia ich od spekulantów, wstrzymuje postęp produkcyi rolnej i rujnuje wytwórców. Tylko za pomocą pewnej organizacyi można usunąć te zbyteczne i uciążliwe ogniwa łańcucha spekulacyjno-pośredniczącego, opasującego ziemian naszych. Tylko taką drogą można nabywać wprost ze źródeł wytwórczych maszyny, narzędzia rolnicze, nasiona i wszelkie przedmioty, niezbędne w gospodarstwie, oraz sprzedawać płody rolne korzystnie, z podziałem dotychczasowych zysków spekulanta pomiędzy spożywcami a wytwórcami. Te same cele ma spółka radomska.

Szerszy zakres zadań, jak rzekliśmy, posiada Towarzystwo w Kielcach. Postaramy się w streszczeniu ustawy zaznaczyć zasadnicze jego cele: Ma ono dopomagać połączonemi siłami członków do rozwoju i doskonalenia się rolnictwa, tudzież przemysłu wiejskiego w gub. Siedleckiej. Do uskutecznienia tych zadań służy mu prawo. Badać położenie różnych gałęzi gospodarstwa rolnego, wyświetlać jego potrzeby za pomocą wspólnego roztrząsania spraw różnych na zebraniach członków i rozprawach ziemiańskich. Urządzać wycieczki w celach obejrzenia gospodarstw członków, jak również dla wszelkiego rodzaju badań rolniczych. Rozszerzać wia-

---

ZA PÓŹNO.

ELEGIA.

„Wybraniec ten, ten król, to bożyszcze tłumów — ma jednak bolesną twarz archanioła śmierci."
Głos z tłumu.

Dokoła szmer przyciszony, pełen zaciekawienia, ale i wykwintnej dyskrecyi zarazem. Zabieramy miejsca honorowe tuż przy estradzie, niby goście wybrani, chociaż nie wątpię ani na chwilę, że estradę tę dla mnie tylko przystrojono tak artystycznie, że szumiące te fale głów ludzkich zwracają się tylko ku mnie, a serca, jeśli biją żywiej i mocniej — to również dla mnie tylko. Wyszedłem wreszcie z długiego ukrycia na wielkie światło—„gwiazda, bojąca się własnych promieni i przyćmiewana dotąd cudzą niechęcią i zazdrością."

— Nie śmieliśmy prosić o przyrzeczenie, nie śmieliśmy ogłaszać... ale jeśli pan raczy wziąć udział w części artystycznej, będziemy wdzięczni nad wyraz wszelki.

Jak wobec chorego magnata względy subtelnie przysłonione, troskliwość delikatna, hołdy w półtonach. To też dreszcz nerwowego niesmaku przebiega ciało moje od stóp do głowy, gdy słyszę ze wspaniałej loży, wznoszącej się tuż przy mnie, szept cichy, lecz dobitny, kobiecy, przeznaczony specyalnie dla mego ucha, również jak ten strój malowniczy i stylowy nieład włosów — dla mego oka:

Twarz nadczłowiecka. Nerwowa, subtelna, bolesna i zwycięzka.

— Pani nie jesteś subtelną, o, nie!— odpowiadam jej w duchu.

Postanowiłem dowieść im, że tak źle nie jest, jak oni widocznie myślą. Choć duszy mej nie uleczy ten pałac-szpital, w którym sądzono mi mieszkać w tej połowie życia mojego — ma ona zawsze w ukrytych głębiach swoich słoneczne widnokręgi, którymi potrafię błysnąć przed zdumionemi ich oczami. Ślad to niestarty pierwszej młodości mojej, który się trwale wyrzeźbił w tej rannej duszy, jak jasne bareljefy rzeźbią się we wnętrzu przyćmionej świątyni. Przemówi młodość moja zaranna, odmłodzi was i wstrząśnie wami, słuchacze cisi, rozumni i szlachetni — wybrani, którzy przyszli słuchać swego wybrańca. Czuję w tej chwili, że tak jest, że się nie mylę — chociaż okazują mi to prawie niedostrzegalnie, ostrożnie a rzewnie mimowoli, dlatego — że jestem chory.

A więc dlatego właśnie, aby kłam zadać tej prawdzie — lekkim uśmiechem rozchyliłam usta, wychodząc na estradę i po chwili spływa na salę pierwsza pieśń wiosny mojej, bijąca czarem tej słonecznej wiosny... Ale czyż świat zna czar potężniejszy nad pierwszą wiosnę natury i wiosnę życia ludzkiego?

Pieśń moja zrosztą prosta, jak pieśń słowicza — jest tylko na początku dźwięcznym akordem natury, uderzonym w struny naiwnej jeszcze duszy. Stopniowo jednak i powoli, z obłoku dźwięków wiosennych, ze srebrnej piany fal arkadyjskiej kaskady — wyłania się i rośnie wysmukła postać młodzieńca o dumnem i czystem czole, ze wzrokiem skrzącym różaną łuną nadziei, z dźwięcznym okrzykiem zwycięztwa na uśmiechniętych ustach pół-boga...

— Antinous-Apollo-Achilles i Tyrteusz zarazem... Tylko tyle... tylko tyle! Tylkom taki przed tobą, płonący już tłumie!..

Mieni się, blednie z zachwytu—i wezbraną niezmiernie uniesieniem falą rwie brzegi, przypływa ku mnie...

Miękki, wonny, pieszczotliwy deszcz laurów i róż rozkwitłych. Kolce ich, dotykając zlekka mej skroni, jakby chcąc symbolicznie przypomnieć mi o cierniach, minionych bezpowrotnie. Rajski deszcz ten

domości teoretyczne i praktyczne z zakresu gospodarstwa rolnego za pomocą drukowania i rozpowszechniania swoich prac i dzieł rolniczych tudzież urządzić muzeum na potrzeby rolnictwa. Opracowywać najprawidłowsze sposoby prowadzenia gospodarstw, przez dokonywanie prób uprawy, przyjętych w innych miejscowościach Rosyi lub zagranicą, w celu utrwalenia najpożyteczniejszych i najpraktyczniejszych na terytoryum działalności Towarzystwa. Nadto, w tym celu należy organizować konkursy maszyn rolniczych, narzędzi, uprzęży itd., urządzać stacye i pola doświadczalne, fermy, sady, szkółki itd.: wreszcie dopomagać do działalności takich instytucyj, już istniejących lub tych, które powstaną w przyszłości.

Dalej Towarzystwo ma dopomagać gospodarzom: do prawidłowego rozwoju ich przedsiębiorstw rolniczych za pomocą pożytecznych wskazówek i zaleceń, oraz podejmować się pośrednictwa; w celu zaopatrzenia gospodarzy w przedmioty niezbędne, wreszcie — zbytu produktów gospodarskich za pomocą otwierania w tym celu biur wywiadowczo-komisowych, składów rolniczych itd. Tworzyć wystawy, licytacye, tudzież zachęcać do pracy na polu rolnictwa. (Środkiem zachęty mają być medale i inne nagrody honorowe).

Wystawy, stacye doświadczalne i fermy naukowe Towarzystwo może urządzać tylko pod warunkiem wyjednania za każdym razem pozwolenia osobnego i przy skrupulatnem zachowaniu wszelkich przepisów w tej mierze. Towarzystwo ma prawo posiadać własny organ, przedsiębrać wszelkie inne wydawnictwa specyalne i stworzyć bibliotekę, w której wszakże mogą być wyłącznie tylko dzieła specyalne, treści rolniczej: katalog zaś za każdym razem musi być zatwierdzony przez gubernatora. Za pozwoleniem również tej władzy Towarzystwo może tworzyć delegacye specyalne, jak również samodzielnie lub za pośrednictwem swych członków zakładać spółki do wytwarzania i zbytu produktów rolnych. Prawa i obowiązki delegacyj specyalnych określa samo Towarzystwo w granicach swojej ustawy. Może ono rozwiązywać je, lecz zarówno o stworzeniu jak i rozwiązaniu powinno zawiadamiać gubernatora i departament rolnictwa. Na zakładanie spółek rolniczych należy za każdym razem wyjednywać pozwolenie generał-gubernatora, któremu służy prawo zatwierdzać specyalne przepisy i instrukcye dla czynności spółek jak również zamykać je, jeżeli działalność ich przekraczać będzie granice instrukcyi.

Towarzystwo ma prawo nabywać niezbędne dla niego ruchomości, jak również i nieruchomości (po wyjednaniu odpowiedniego pozwolenia); nadto, sprzedawać i zastawiać nieruchomości i walory itd.

Bardzo ważnym artykułem ustawy jest następujący przywilej Towarzystwa: ma ono prawo przedstawiać ministrowi rolnictwa i dóbr państwa potrzeby tej części kraju, w której instytucya działa.

Pomijając inne szczegóły, mniej ważne, zaznaczyć tylko musimy, że Towarzystwo pozostaje pod zarządem departamentu rolnictwa, któremu co rok składa sprawozdania ze swej działalności: wreszcie to, że zarówno Towarzystwo, jak i jego pełnomocnicy powinni porozumiewać się z instytucyami i osobami urzędowemi w języku rosyjskim.

Przepisy ustawy, jak widzimy, nakładają Towarzystwu bardzo ważne obowiązki, niemal w takich granicach, w jakich działają z powodzeniem już istniejące oddawna Towarzystwa w Cesarstwie (np. mińskie lub kijowskie). Rozwój i żywotność instytucyi całkiem zależy od kwalifikacyi i poczucia obowiązków obywatelskich ogółu ziemian. Zdaje się, że tym razem nie będą oni obojętni, o ile można wnosić z zainteresowania się ich nowym organem. (Na otwarcie Towarzystwa przybyło do Kielc 88 ziemian). Wogóle z licznych faktów spostrzegamy w ostatnich czasach większy postęp społeczny w życiu naszych ziemian, większe uświadomienie potrzeb w granicach szerszych. Stworzenie nowego ogniska w Kielcach również ujawniło jasną i świadomą dążność do celu: „My, rolnicy — mówił przewodniczący, p. Eustachy Dobiecki — ażeby się utrzymać na stanowisku, nie możemy już tylko kroczyć drogą utartej rutyny, ale musimy szukać dróg nowych, zastosować wszelkie wyniki postępu i doświadczeń, gdzieindziej już na tem polu poczynionych. Hasłem naszem powinno być: produkować taniej, lepiej i różnorodniej, tj. gospodarować umiejętniej... Nadto musimy w sobie pierwiastek obywatelsko społeczny nietylko utrzymać, ale uszlachetnić i podnieść." Gubernia Kielecka, jak zaznaczył mówca, przedstawia warsztat dość krnąbrny, wymagający wielu ulepszeń i nakładów. Dla doświadczeń rolnych jest w kraju jedna tylko, i to dla wielu dość odległa stacya — w Sobieszynie. Otóż wskazanie właściwych melioracyj, ułatwienie ich na roli lub w hodowli inwentarzy, założenie miejscowej stacyi doświadczalnej — to powinny być między innemi najpierwsze zadania Towarzystwa.

Nowe ogniska rolne pozwalają nam przypuszczać, że z czasem powstaną jeszcze inne w miastach gubernialnych, a wtedy łatwiej będzie ogółowi naszych ziemian przeprowadzić ważne zadania, wymagające zorganizowania się ekonomicznego. Wtedy i sekcya rolna, jako sama przez się centralny organ tych instytucyj prowincyonalnych, rozwinie skuteczniejszą i szerszą, niż dotąd, działalność. Dziś do takich urządzeń chwila jest najodpowiedniejsza, gdyż śród ziemian naszych budzi się, jak gdyby żywiołowo, pierwiastek organizacyjny, wywołany siłą potrzeby i większą dojrzałością ekonomiczną. Nowe ogniska może z czasem ułatwią rolnikom naszym przejście do innej, trwalszej formy bytu ekonomicznego, wyzwalającej ich w znacznym stopniu z zależności handlu i wielkiej produkcyi fabrycznej. Stanie się to wtedy, gdy rolnik będzie nietylko wytwórcą, ale handlarzem, tudzież przetwórcą swoich produktów surowych.



---

na ziemi zmusza mię oczy przymykać, uchylać głowę od wieńców, wkładanych mi na skronie dłonią uniesionych kobiet.

— Spodziewaliśmy się cudnego marszu żałobnego... Usłyszeliśmy przepyszny hymn życia, ekstazę czarodziejskiej młodości!... Dzięki, o dzięki, mistrzu promienny i jasny!..

Tak przemawiają dusze ich do mnie.

Odrzucam im z powrotem kaskady kwiatów już innych, niż pierwsze te wiosenne. Kwiaty te są upalne, dyszące podzwrotnikową siłą i rozkoszą. Mocne wonie ich tchną i czarują z kielichów rozwartych już szeroko. Moc ich, dojrzała i rozrośnięta, jakimś potężnym łańcuchem opasuje te tłumy — i niewolniczo ciągnie je ku mnie, do kolan, do stóp moich...

Młodzieniec stał się mężem wielowładnym.

I oto dokoła mnie już nie pogodny tylko i jasny strumień uszczęśliwienia, lecz potok wrzący szału, morze gwałtownej namiętności. Cisną się, cisną ku mnie, obejmują mnie chciwemi ramionami, klękają u stóp moich — upojeni, pokorni...

Ale w tej chwili już czuję, że na czole mojem ukazuje się groźna chmura, po twarzy mojej przebiega kurcz boleści — i wołam do nich niememi usty, lecz całym głosem duszy mojej:

— Weź mię na barki, o tłumie spragniony i płonący! Ukój na świeżych, wonnych wawrzynach twoich na zawsze, jak uśniętego króla pieśni helleńskiej na tarczach laurem spowitych! Nie zmartwychwstają tacy, jak ja, umarli. Skonała dusza moja — i cień jej tylko promienny widzieliście przed sobą!..

* *

Więc jeśli może być dla mnie spoczynek na tej ziemi, to chyba tylko pod dachem cichego tego dworku piastowego. Są jeszcze strzechy takie i ludzie, którzy znajdują je dla mnie. Powabny nad wyraz szablon. Od białego domostwa — do lip i topoli, od kwitnącego maju — do kwitnących zachwytem różanych buziaków dziecięcych.

— Wszystko to nasze!

Błagalne oczy niewolnicy mojej żebrzą pociechy i nadziei. Znikły z nich prawie chwilowe blaski pogody i szczęśliwości wobec groźnych i smutnych źrenic „władcy."

— Czyż i tu nawet nie znajdziesz ukojenia?.. w tym swojskim, w tym cichym raju?..

Usiłuję wywołać na twarz pogodę i wesele, na usta słowa ładne i dobre. Lecz ona wciąż bada mię mimowoli wzrokiem rozumnym i niespokojnym...

Wtem usta moje uśmiechają się szczerym zachwytem, z oka strzelają blaski radości, prawdziwej, nieudanej radości... tak, że ona z niezmiernem zdziwieniem pospiesza spojrzeć na ów cud, co wywołał tyle promieni na moją twarz ponurą.

W końcu ogrodu, wśród pary dębów starych — wzgórek porosły głogami. Na nim ruina starej altanki, seledynowa od mchów, srebrna od spruchniałego drzewa. Chociaż w promieniach słońca kąpie się cała—zda się lśnić jednak blaskiem księżycowym.

— Altankę trzeba będzie precz zrzucić, głogi zastąpić różami... przywykłem już trochę do róż, przywiązałem się nawet do nich — mówię głośno, a w myśli swej dodaję:

...będzie mi tu tak dobrze pod niemi... Wśród nich jasny krzyż drewniany zabłyśnie w słońcu...

Cóż to jest znowu, na miłość Boga?... Ech — „zamarzyłem się" po swojemu... o różach i słońcu.

Janina Baudouin de Courtenay.

LISTY PETERSBURSKIE.

Uroczystości Puszkinowskie. — Akord harmonijny. — Informacye *Nowego Wrem.* — Sprawy finlandzkie. — Wyjątek w prawie, ograniczającem nabywanie ziemi. — Rola kapitałów zagranicznych.

Społeczeństwo rosyjskie i jego prasa święci uroczystość Puszkina. Dziwić się więc nie można, że w tak ważnej chwili wszelkie inne sprawy, nawet doniosłe, zeszły na pewien czas z uwagi publicznej. Większość pism wydało numery jubileuszowe; niektóre zaś zaznaczyły udział Polaków w obchodzie i wypowiedziały z tego powodu uwagi ogólne. Między innemi *Peterb. Wied.* wygłosiły następujący pogląd: „Na obiedzie, urządzonym 4 b. m. z okazyi rocznicy Puszkina przez przedstawicieli społeczeństwa polskiego na cześć rosyjskich działaczów społecznych i publicystów, ujawniło się tyle jednomyślności i zrozumienia wzajemnego, że dzień ten będzie niewątpliwie punktem wyjścia do zbliżenia na nowych podstawach. W słowach wybitnych mówców, w cytatach poetów ulubionych, w pełnych uszanowania wyrazach szczerości uczuć bratnich, tchnęło dążenie do wynalezienia gruntu po za sferą polityki i złowrogich goryczy, do uczciwego podania sobie ręki, do wypowiedzenia słowa bez nienawiści, do zajęcia sfery tych słonecznych dni i ożywczych idei nieśmiertelnej twórczości, których kapłanami są w równym stopniu nasz wielki wybraniec muz i Mickiewicz. Oprócz Polaków, z p. Spasowiczem na czele, mówili pp.: Koni, Andrejewskij, Kariejew, Gobi, Arsenjew, Amfiteatrow, Arabowin, Obolenskij, Idaków i Syromiatnikow. Bez względu na różnicę poglądów i różnorodność obozów, do których należą mówcy, żaden rozdźwięk nie zakłócił podniosłego i wysoce uroczystego nastroju. Rzekłbyś, że cień Puszkina obecny był w sali, gdzie dla uczczenia jego imienia zgromadziła się cywilizowana grupa rodaków i współbraci Słowian, którzy złączyli się w zgodną rodzinę, spoglądającą z uszanowaniem na relikwie geniuszów dwu wielkich narodów... Wobec tej bezpośredniej i żywej łączności mimowoli nasuwa się pytanie: dlaczego tak niezwalczona jest dotąd siła nieporozumienia między mnóstwem Polaków a nami?...“

Pan L. W., korespondent warszawski *Nowego Wrem.* postanowił wskazać źródło siły ekonomicznej „kresów:“ „Dobrobyt kresów wogóle, a nadwiślańskich w szczególności, wypływa przedewszystkiem z różnych ulg, które umiano wyjednać ze szkodą dla centralnych gubernij państwa. Np. w połowie trzeciego dziesięciolecia wieku niniejszego stworzono w Warszawie Towarzystwo kredytowe ziemskie, na zasadach wzajemności oparte. Powstało ono przy pomocy funduszów nie z Królestwa, które wówczas miało autonomię własną, lecz z Cesarstwa. W r. 1828 otwarto w Warszawie Bank polski, który był świetną dźwignią przemysłu i nadto udzielał dobrom ziemskim kredytu melioracyjnego.“ Korespondent twierdzi, że na założenie tej instytucyi, tak samo jak i Towarzystwa kredytowego, Królestwo zaciągnęło pożyczkę z funduszów Cesarstwa i naturalnie nie spłaciło jej wcale. (Podobno w ten sam sposób powstał Bank finlandzki — z funduszów Cesarstwa). „A jak poważną pomoc stanowiły dla właścicieli ziemskich gubernij Królestwa Polskiego, zachodnich i nadbałtyckich dochody propinacyjne! — woła korespondent.— Teraz, gdy wprowadzono monopol rządowy i zniesiono prawo propinacyjne, baronowie niemieccy i panowie polscy wezmą ze skarbu miliony, tytułem odszkodowania za zniesienie propinacyi.“

Nie na tem kończy się „wypominanie.“ Pomijamy długi szereg innych i niebyśmy nie mieli przeciwko tym wywodom, gdyby w nich była... choć odrobina prawdy. Korespondent nie wie, czy też pod wpływem założenia tendencyjnego nie chce wiedzieć, że 1-mo Towarzystwo kredytowe ziemskie zawiązało się dzięki kredytowi *ze skarbu Królestwa Polskiego*, który przeszedł do skarbu Cesarstwa wtedy, gdy już Towarzystwo liczyło 40 lat istnienia. Pożyczkę tę spłacono oddawna co do grosza. 2-do Bank Polski otrzymał nie pożyczkę, lecz fundusz zakładowy bez zwrotu, jako instytucya rządowa, istniejąca i dzisiaj, zreformowana, pod nazwą Banku państwa, który przed kilku laty zaczerpnął do nowej ustawy kilka zasadniczych przepisów z ustawy Banku polskiego. Co do wynagrodzenia za propinacyę, aż nadto powszechnie wiadomo, na jakiej zasadzie skarb postanowił je wypłacić. Dziwić się trzeba, że korespondent tego nie wie, a jeszcze dziwniejsza jest to, że pismo, uchodzące za poważne, drukuje niedorzeczności i nie stara się ani sprawdzić, ani sprostować błędów kompromitujących.

Projekt prawodawczy, dotyczący rewizyi ustawy o służbie wojskowej w Finlandyi, będzie przedstawiony radzie państwa do przejrzenia w sejmie finlandzkim. Komisya uznała jako sprzeczne z organizacyą armii i zadaniami obrony państwa, dążenie senatu i sejmu do tego, ażeby wojsko fińskie postawić w możliwie najmniejszej zależności od władz wojskowych i zarządów państwa. Jako fakty świadczące o tem, podkreślono postawienie na czele wojsk fińskich general-gubernatora finlandzkiego, nie zaś dowodzącego wojskami rosyjskiemi, konsystującemi w Księstwie; następnie — składanie reportów władzy zwierzchniczej w sprawach prawodawczych i gospodarczych wojska fińskiego nie przez ministra wojny, lecz przez sekretarza stanu Księstwa. Tym sposobem z pod władzy ministra wykluczono rozległe i ważne dziedziny prawodawcze tudzież ekonomiczne, stosunek zaś do wojsk fińskich pozostał tylko w granicach administracyjnych (mianowanie, przenoszenie, odznaczanie oficerów itd.). Przy tem ustawa dotychczasowa senatowi Finlandyi, instytucyi cywilnej, nadała prawo czynienia „przedstawień“ w sprawie uzupełniania bojowych sił kraju itd.

Komisya domaga się także zmiany przysięgi: „Forma jej, wskazana w prawie dla całej armii rosyjskiej, powinna obowiązywać także jej część — wojska fińskie.“

Najważniejszą zmianą ma być postawienie Finlandyi na równych warunkach z całem państwem pod względem osobistych i finansowych ciężarów służby wojskowej. Obecnie, jak zaznaczają motywy komisyi, Finlandczycy pełnią służbę wojskową na warunkach bardzo lekkich. Podczas gdy w Cesarstwie przyjmuje się na służbę 36% ogólnej liczby poborowych, powoływanych do superrewizyi, w Finlandyi stosunek ten zaledwie wynosi 9,6%, a więc ciężar powinności osobistej jest tam $3^3/_4$ lżejszy, niż w całem państwie. W takich samych warunkach Finlandya pozostaje pod względem finasowym. Podczas gdy całe państwo wydało na obronę przeszło 18% swego budżetu, ona — 16%, a były nawet takie lata (1862—1870), w których przeznaczała tylko 6,5%.

Zrównanie Finlandyi z całem państwem i wprowadzenie rosyjskiej normy osobistej służby wojskowej, postanowiono uskutecznić w okresie dziesięciolotnim, z podniesieniem liczby rekrutów w ciągu siedmiu lat o 2,7%, w ciągu zaś trzech ostatnich — o 2,5%.

Co do strony finansowej, Finlandya będzie musiała zwiększyć wydatki na wojsko o 3,783,901 rb. Suma ta przejdzie ze skarbu finlandzkiego, jako zasiłek, do ogólnych funduszów skarbu rosyjskiego, z którego obecnie czerpane są wszystkie środki na obronę kraju. Z tegoż źródła będą utrzymywani nowozaciężni fińscy, przyjęci na służbę do wojsk rosyjskich. Ażeby raptownie nie obarczać skarbu finlandzkiego tak poważną sumą, komisya postanowiła rozłożyć ją na raty w ciągu dziesięciu lat, (tj. w trzech okresach sejmowych).

W chwili obecnej na porządku dziennym jest kilka reform tudzież wniosków, w zakresie zmian i uzupełnień różnych przepisów, regulujących życie społeczne i ekonomiczne mas ludności w państwie. Między innemi ważne ma znaczenie sprawa następująca: Jak wiadomo, 10 grudnia (st. st.) 1865 r. Najwyżej rozkazano, ażeby „aż do chwili zupełnej organizacyi kraju Zachodniego za pomocą dostatecznego wzmocnienia w nim rolników - Rosyan, wzbronić osobom pochodzenia polskiego nabywania dóbr ziemskich w dziewięciu gubermach zachodnich. Wszelkie akty i tranzakcye na przejście majątków w ręce Polaków, zawarte po ogłoszeniu niniejszego rozporządzenia, mają być uznane za nieważne, z wyjątkiem praw dziedziczenia.“ Obecnie, jak donoszą *Ruskija Wiedomosti*, wszyscy gubernatorowie kraju północno-zachodniego otrzymali cyrkularz ministeryum spraw wewnętrznych, który zawiadamia, że wkrótce przejrzane będą prawa wyjątkowe co do władania ziemią w powyższych guberniach. Zanim wszakże to nastąpi, gubernatorowie mają działać według rozkazu Najwyższego z d. 4 marca. Rozkaz ten, który obecnie stał się wiadomym, ustanawia wyjątek w prawach ograniczających. Mianowicie pozwala on katolikom, urodzonym w gubermach rzeczonych, prowadzącym włościański tryb życia i osobiście zajmujących się rolnictwem, nabywać ziemię, z tym wszakże warunkiem, aby ogólna ilość gruntów, posiadanych poprzednio i nabytych na mocy powyższego postanowienia, nie przekraczała cyfry 60 dziesięcin w rękach jednego gospodarza.

Sprawa kapitałów zagranicznych i ich roli w państwie rosyjskiem stała się poważnym tematem ekonomicznym. Świeżo prof. Brandt wydał książkę, w której dowodzi, że kapitały zagraniczne, jako źródło, zapewniające pracę masom, są „humanitarniejsze“ i produkcyjniejsze, niż krajowe. Pogląd ten popiera i rozwija *Torgowo-prom. Gaz.* w sposób następujący: Nie mówimy już o wszelkich instytucyach, tworzonych na pożytek robotników przez przedsiębiorców zagranicznych (szpitale, apteki, szkoły, kasy emerytalne, ubezpieczenia, kuchnie tanie, łaźnie, wanny, ogrody, sale odczytowe itd.), a zaznaczonych w pracy prof. Brandta. Podkreślić jeszcze należy gorliwość, z jaką cudzoziemcy dążą do tworzenia szkół, z których bardzo dużo, pod względem liczby uczniów, nie ustępuje średnim zakładom naukowym. „Fakt ten zasługuje na uznanie tem bardziej, że według danych urzędowych 99,6% naszych fabryk i zakładów nie posiada wcale szkół, a tylko 0,4% ogólnej ich liczby zaopatrzyło się w tę rzecz zbytkowną, za jaką, niestety, wielu jeszcze uważa szkołę! Niezmiernie ważny jest także przykład, płynący z przedsiębiorstw zagranicznych na pożytek Rosyan, którzy zaczynają naśladować cudzoziemców i również dobrze opłacać robotników, urządzać dla nich szpitale, apteki itd.“

P. Brandt zaznacza, że w zakładach metalurgicznych np. brjanskich lub dońsko-jurjewskich, robotnicy stoją na takim poziomie materyalnym, na jakim dotąd stawiali ich tylko przemysłowcy zagraniczni. Wogóle, dzięki cudzoziemcom, byt robotników na południu Rosyi zmienił się zupełnie. To też p. Brandt, na podstawie tych i wielu innych faktów, przyszedł do przekonania, że w interesie warstw pracujących napływ kapitałów zagranicznych do Rosyi jest bardzo pożądany.

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

— ✠ —

Berlin, 10 czerwca.

Dzieją się niekiedy na św[illegible] rzeczy [illegible]! Zjeżdżają się z całej kuli ziemskiej powagi naukowe świata lekarskiego, aby roztrząsać sprawę walki z gruźlicą i zamiast sprzeczać się o teorye i hypotezy, jak to przystoi specyalistom i uczonym, potrącają o kwestyę troglodytowych jaskiń, w których spędza swe życie lud pracujący, rozprawiają o chciwości kamieniczników, o konieczności reformy mieszkaniowej, o niebezpieczeństwach połączonych z wieloma zawodami, o złem odżywianiu się warstw ubogich. Z tego względu zjazd można uważać za epokowy. Jak zaznaczył prof. Leyden, po raz pierwszy zwołano kongres wyłącznie dla demonstracyi, dla pokazania ogółowi, iż suchoty są uleczalne, jeśli społeczeństwo otoczy dręczone przez nią ofiary opieką, jeśli nie każe im umierać w rozpaczy i poczuciu niemocy. Rozprawy uwydatniły bezspornie, iż gruźlica jest chorobą ludową (*Volkskrankheit*), którą można uśmierzyć, gdy państwo całym szeregiem środków wypowie wojnę dotychczasowej apatyi i obojętności, z jaką traktowano tę sprawę. Tuberkuloza należy do najbardziej rozpowszechnionych chorób. Najsilniej panuje ona w Austro-Węgrzech i Rosyi. Większość umierających u schyłku młodocianego wieku pada ofiarą tej choroby. W Niemczech umiera rocznie do 100 tysięcy osób na gruźlicę płucną. Mężczyźni więcej są narażeni pod tym względem na niebezpieczeństwo, niż kobiety. Miasta są głównymi rozsadnikami gruźlicy. Wzrost wielkich ognisk współżycia ludzkiego, rozkwit przemysłu i potęgująca się gęstość zaludnienia, sprzyjają rozwojowi bacillusa gruźliczego, który przeważnie zagnieżdża się u podstawy piramidy społecznej.

Gebhardt w swym odczycie na zasadzie spisu podatków wykazał, iż władza gruźlicy rośnie w odwrotnym stosunku do stopy majątkowej. Im niżej będziemy się spuszczali po drabinie społecznej, tem częściej napotkamy wypadki gruźlicy, w dodatku zapuszczonej z braku odpowiednich warunków i funduszów. Gdy dotrzemy do sfer, gdzie ludzie utrzymują się pracą ręczną, uderzy nas okropny widok. Trzecia część, a niekiedy połowa śmiertelnych wypadków pochodzi tu z suchot. Kurz, napełniający płuca, postawa przy pracy, uniemożliwiająca prawidłową czynność oddychania, brak ruchu i odpowiedniego krążenia krwi tworzą grunt, na którym rozwija się i panoszy gruźlica. Dość ważną rolę gra obcowanie podczas roboty zdrowych z chorymi. Jeden ze sprawozdawców podniósł kwestyę, czy nie dałoby się urządzić pracy tak, aby kombinowano zawody w sposób nieszkodliwy dla zdrowia. Po kilkogodzinnej pracy w dziale uciążliwym i niehygienicznym robotnik przechodziłby do innej gałęzi, pomyślniejszej i cieszącej się zdrowotniejszymi warunkami. Gdzie niema dostatecznej ilości powietrza i promieni słonecznych, gdzie ludzie są skupieni na małej przestrzeni, gdzie w jednym pokoiku śpi cała rodzina, często wraz z sublokatorami, tam bacillus tuberkuliczny tworzy hekatomby ofiar. A skoro w tej sferze ktoś zapadnie na gruźlicę, niech porzuci wszelką nadzieję i przygotuje się do długiej, ciężkiej agonii. Pierwsza ofiara musi pociągnąć za sobą inne: plwociny, nieusuwane natychmiast, zarażają osoby, otaczające chorego; ciągłe stykanie się z nim i wdychanie jego wyziewów przyspiesza proces szerzenia się choroby. Pamiętajmy, iż w Niemczech np., jak podkreślił jeden ze sprawozdawców, 26% mieszkań służy jednocześnie za warsztaty! Prof. Rubener, głośny hygienista, oświadczył, iż dla zadania ciosu laseczników gruźliczemu należy przedewszystkiem przeprowadzić radykalną ustawę mieszkaniową.

Dziwna rzecz! W tych dniach cesarz Wilhelm II podczas oględzin nowonabytego majątku wyraził swe zdziwienie, iż chlewy są urządzone bardziej po ludzku, niż baraki dla parobków. A czyż w miastach dzieje się lepiej? W sutarenach i na facyatkach nędza nieskończona i groźna!

Prof. Virchow położył wielki nacisk na artykuły żywności. Pomijając, iż strawa biedaków zawiera za mało białka, artykuły spożywcze, nabywane przez lud, są tak liche — zwłaszcza tak zwane mleko, mięso i masło — iż można na ich karb położyć wielki procent wypadków gruźlicy. Wogóle wyszło na jaw, iż wszelkie inne okoliczności, w których upatrywano sprzymierzeńców suchot, jak dziedziczność i wrodzone usposobienie, odgrywają rolę drugorzędną. Nieostrożne kojarzenie się małżeństw, bez uwzględnienia fizycznych kwalifikacyj towarzysza życia, prowadzi wprawdzie do zgubnych skutków. Wszystko to atoli niknie wobec nędzy A teraz pomyślmy, iż biedak wpadł w suchoty. Jak dowodził na kongresie Detweiler, gwiazda naukowa pierwszej wielkości, potrzeba w danym razie długiej, systematycznej i wszechstronnej kuracyi. W braku odpowiedniej pomocy choroba musi zakończyć się śmiercią, po wieloletnich torturach, które odbijają się ciężko na całem otoczeniu.

Uczestnicy kongresu kilkoma dorywczymi sztrychami naszkicowali nam obraz tych męczarni i jednocześnie orzekli, iż tylko sanatorya mogą wybawić społeczeństwo ze szponów epidemii gruźliczej. Brehmer, szlachetny twórca zakładu w Görbersdorfie, wynalazł metodę systematycznego leczenia, którą teraz należy zastosować na wielką skalę. Czekać, aż się znajdą filantropi, którzy dla rozgłosu lub reklamy zechcą obdarzyć społeczeństwo odnośnymi funduszami, znaczy dać wymrzeć tymczasem dziesiątkom tysięcy chorych. Państwo niezwłocznie musi przyjść z pomocą cierpiącym. W samych Niemczech — jak obliczył radca Mayer — jest 50,000 osób, dla których potrzebne są sanatorya. Wymaga to na razie wydatku 137 mil. marek, ale to kropla w morzu wobec wydatków, które pochłonął militaryzm. Na uratowanie życia dziesiątkom tysięcy ludzi znajdzie się w budżecie źródło dla tak stosunkowo niewielkiej kwoty. Konie wyścigowe, karty i kokoty kosztują rocznie z pewnością więcej. Jakem wspomniał w poprzedniej korespondencyi, projekt, a raczej zalążek projektu ustawy mieszkaniowej, wykluwa się w gabinecie jakiegoś tam sekretarza stanu. Wkrótce prawdopodobnie państwo wystąpi z ustawą o sanatoryach suchotniczych.

H. F.



LIBERUM VETO.

W Karlsbadzie.

Wody Karlsbadzkie różnią się podobno od wszystkich innych tem, że na pewne choroby niewątpliwie pomagają. Ściąga też tu bogactwo i biedactwo z najrozmaitszych stron świata, co miastu daje olbrzymie dochody, ale strojnym paniom psuje stanowczo popisy toaletowe. Bo łatwo na spacerze lub placu przy źródłach rozpuścić pawi ogon skrojony i ozdobiony przez Wortha lub Hersego, gdy się ma nieliczną gromadkę eleganckich widzów; ale jak go rozpostrzeć w wielotysięcznym tłumie i ścisku, gdzie każdy gbur z żółtą twarzą lub rozpartym brzuchem, każdy chłop czeski lub przekupień rumuński gotów bez ceremonii nadeptać i oberwać najpyszniejszy tren, jakby to był zwyczajny łachman! To nie salon, ale hotel, nie kareta, ale omnibus — wytworna też publiczność ubiera się i zachowuje odpowiednio. Ciągle powtarzające się a rozpaczliwe wysiłki niektórych dam, ażeby wyblysnąć z tej szarej masy, zwykle pozostają bez skutku: i oto, jak wszędzie, „towarzystwo" bez ratunku tonie w pospólstwie. Ubolewałem zawsze nad tym zmarnowanym trudem i kosztem: bo ileż w tych sukniach, okrywkach i klejnotach tkwi „nadwartości," które stają się ofiarami daremnemi, nieolśniewającemi nawet dziewcząt, zbyt zajętych nalewaniem wody! Ale na ten smutek mogłem sobie pozwolić, nie naruszając dyety: był on mniej szkodliwym, niż zjedzenie kawałka sera. Zresztą nie brak przyjemnych wrażeń, zalecanych usilnie przy kuracyi karlsbadzkiej, a tych dostarcza przedewszystkiem lecząca się bieda. Jak wspomniałem, spływa ona tu obficie: rzemieślnicy, chłopi, handlarze, oficyaliści, drobni urzędnicy, najrozmaitsi pasierby i pasierbice losu, którzy za ciężko oszczędzone lub pożyczone grosze, przymierając głodem, szukają ratunku u cudownych źródeł. Na kolej w najniższej klasie mają pieniądze, na liche jedzenie i mieszkanie w podrzędnych zajazdach lub gospodach ledwie im starczy, o pomocy lekarskiej na miejscu często nawet nie marzą. Ktoś im — właściwie czy niewłaściwie — zalecił Karlsbad, więc przyjechali tu i leczą się sami. I jak się leczą! Prawdziwe żniwo dla humorystyki!

— Czy wiesz pan — mówi do mnie przygodny znajomy — ten oto Żydek, który siedzi na ławce, pije dziś ośmnasty kufel Szprudla.

— Niepodobna!

— Zapytaj go pan.

Każdy Żyd w długiej kapocie i z pejsami jest niewątpliwie nasz: więc zagadnąłem go po polsku.

— Dużo tej wody pijecie?

— Czy to nie wolno? — odparł. Zapłaciłem kurtaksę.

Nb. nie zapłacił.

— Wierzę, tylko chciałem wiedzieć, ile wam doktór przepisał.

Uśmiechnął się smutnie.

— Na co mnie doktór? Ja lepiej się znam na mojej chorobie, niż on. Mnie boli, a jego nie boli: to ja lepiej rozumiem. Pan myśli, że nie? Kto zna smak kugla: czy ten, co go jadł, czy ten, co go nie jadł? A skąd pan?

— Z Warszawy.

— Ja z Tykocina. Daleka droga! Kosztuje piękne pieniądze. Możnaby za nie z kopą gęsi dojechać do Syberyi. Proszę pana, czy tu gdzie nie sprzedają biletów powrotnych po zniżonej cenie?

— Nie słyszałem.

— Ja wiem, że na granicy można kupić *retour*. Ale mnie powiedzieli, że niektórzy pasażerowie chcą zostać dłużej, albo jadą inną koleją, to mają bilety do sprzedania tanio.

— Dawno pijecie wodę?

— Kieszeń mówi, co dawno, a wątroba, co niedawno. Jej by się chciało przez rok, może ciągle. Aj, aj, po co biednemu człowiekowi taki interes! Przepraszam, co panu jest?

— Także wątroba.

— Pan dobry doktór radził? Co on kazał?

— Pić dwa kubki wody i zachowywać dyetę.

— Dyeta — to mała bagatela. Jak kto nie ma co jeść, to on jest całkiem dyetnik. Ale te kubki. Czemu dwa? Panie, jeśli dwa zabijają słabość, to dziesięć albo piętnaście zabija jeszcze prędzej.

— Tak, ale mogą zabić i człowieka.

— Pan się myli. Czy taka woda to trucizna? Ona lekarstwo. Więcej lekarstwa, więcej zdrowia. Ja panu co powiem: mnie felczer z Tykocina poradził: pij, ile możesz, to za jedne pieniądze. Ja piję dwanaście, osiemnaście; mnie od tego dobrze. Czasem to ja mam *Kopfschwindel*, ale jak pójdę za miasto — to minie. Po trzech kubkach — chce mi się jeść, po dziesięciu — jestem całkiem syty. Ta woda jak rosół. Panu doktór zabronił więcej pić?

— Tak.

— No, bo on wiedział, że pan tu będzie trzy, cztery tygodnie. Ale jeśli kto nie ma tak dużo czasu, *oder viel Geld?* Może taki sam *Geschäft* zrobić prędzej. Niech pan mnie powie sumiennie: czy na granicy płaci się za tę wodę cło?

— Chyba — nie.

— Ja sobie już oszczędziłem kilka butelek i chciałbym zabrać. Oni tu pozwalają, ale tam, w Aleksandrowie...

— Zdaje mi się, że puszczą.

— Pan tu pierwszy raz?

— Nie.

— Dlaczego pan tak mało wie? Pan musi mieć dużo pieniędzy.

— Wcale nie.

— Bardzo się dziwię.

— Przecież wy, Żydzi, mówicie, że kto ma wiele pieniędzy — ten jest mądry.

— Przepraszam, dużo pieniądze dają inny rozum, a małe inny. Żebym ja nie miał tego rozumu od małych pieniędzy, to ja bym tu nie przyjechał, ja bym nie pił wody, ja bym wcale nie żył. A ja wrócę zdrów, ja muszę być zdrów. Pan nie musi, pan tego wcale nie potrzebuje...

— Zdrowia?

— No, tak. Jeśli pan nie ma dzieci i innych kłopotów, jeśli pan posiada majątek, zapewnie kamienicę albo folwark — po co panu zdrowie? Pan może ciągle siedzieć w Karlsbadzie, brać doktorów, zażywać lekarstwa, jadać ryby, pić wino. Będzie zimno, to pan się przeniesie do ciepłego kraju; nie będzie pan mógł chodzić, to będzie pan jeździł karetą. Co pana obchodzi zdrowie? Ja mam sześcioro dzieci i żonę, sklep... Wielki interes! Jak ja w nim siedzę, to on jest sklep, a jak z niego wyjdę, to on jest — trochę śledzi, mydła, krochmalu, farbki, igieł — razem nic. Ja byłem kiedyś kupiec, porządny kupiec; przyszła choroba na pierwszą żonę, na drugą żonę, wreszcie na mnie, i zjadła pomału wszystko. Teraz zjada mnie. Proszę pana, czy ona się tej wody boi?

— Troszkę.

— Więc to nie jest wcale pewne, że moja wątroba będzie *git?* Pan żartuje, mnie rabin zaręczył. Niech pan powie rzetelnie: coby taki doktór, który zna się na wątroba, wziął od biednego żydka z Tykocina za jedną poradę? Może by mnie pieniędzy starczyło, wreszcie ja bym sobie pożyczył, aby tylko za to coś mieć.

— Tu są bardzo zacni lekarze Polacy. Przypuszczam, że każdy z nich nie by od was nie wziął, gdyby był przekonany, że jesteście biedni.

— Ja jestem bardzo biedny, ale darmo nie chcę. To nic nie warto. Jeśli ja jemu nic nie dam, on mnie także nic nie da. Popatrzy, stuknie w brzuch i powie: pij wodę. Pan myśli, że ja tego nie próbowałem? Mnie w Warszawie dali kartkę do takiego doktora, co od ubogich nic nie bierze pieniędzy. On wcale nie słuchał — tylko gadał do swego lokaja, żeby mu kupił bilet na koncert. A jak mu wytłomaczył, gdzie on chce siedzieć, to powiedział do mnie: *gaj sioj*. Felczer w Tykocinie wziął dwa złote — ale jak mnie macał! Żeby on się tylko znał, to on byłby największy doktór. Czy pan się czuje zdrowy po dwu szklankach wody?

— Tak.

Ja bym chciał podobnie spróbować; ale to za mało wypadnie przez tydzień, a dłużej być tu nie mogę. Moja żona, moje dzieci także potrzebują żyć. Jeżeli ja dużo pieniędzy utopię w tej wodzie, co będzie, jak powrócę? Będzie bieda, która wlezie w wątrobę. Tu nie można przecie nic zarobić. Ja sobie już kalkulowałem, żeby kupić trochę chustek bawełnianych — bardzo tanie! — w Prusach trochę cygar, trochę wstążek — ale komora! Pan widział, jak w Aleksandrowie rewidują? Szczególnie żydków wywracają na drugą stronę. Oni szukają w kieszeniach, pod koszulą... Przepraszam pana, co to za kamienie są w wątrobie? Takie zwyczajne, brukowe?..

— Miększe.

— I one rozpuszczają się w tej wodzie?

— Podobno.

— Pan ma wielkiego doktora i pan nie wie napewno. Czy on sam tego nie rozumie, czy pan się nie pytał?

— Wszystko jedno, aby być zdrowym.

— To dla pana wszystko jedno, ale nie dla mnie. Ja tu mogę mieszkać tylko tydzień, ja może drugi raz nie przyjadę, ja mam dużą familię, sklep...

Oddał kubek do napełnienia wodą i wypił.

— Który to dziś?

— Niech oni liczą. Mnie tu żydki mówili, że te źródła czasem przestają strzykać i że wtedy w magistracie jest wielki gwalt. Dlatego burmistrz prosił doktorów, ażeby chorym nie kazali dużo pić wody, bo może jej zbraknąć. Co to mnie obchodzi?

— Bądźcie spokojni, nie zbraknie. Gdyby chcieli oszczędzić, to wstrzymywaliby wodę i nie wpuszczali jej do rzeki.

— I to prawda. Pan jest człowiek dobry, pański lekarz jest zapewne także człowiek dobry; niech pan jego grzecznie zapyta: ile kubków powinien pić biedny żydek, który może być tu tylko tydzień, ma żonę, sześcioro dzieci, mały sklepik w Tykocinie?.. Niech pan mu powie, co tego żydka często bardzo boli w brzuchu, co on czasem jest taki żółty jak szafran, co on wtedy nie może ani jeść, ani handlować, tylko krzyczy.

Żaden lekarz nie poradzi bez widzenia i zbadania.

— Co on ma widzieć? Czy on mnie do wątroby zajrzy? Ja rozumiem, on chce zobaczyć mój gulden. To jest osiemdziesiąt kopiejek, to jest cztery dni życia dla mojej familii, ale ja dam cały gulden — tylko niech będzie skutek. Pan mu to powie?

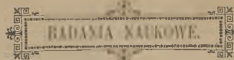
— Powiem, ale on nie zaręczy.

— Nie zaręczy? To ja będę pił tyle wody, ile mi się zechce — i nic nie zapłacę.

Znowu podał kubek do nalania.

Odszedłem. Nie chciałem go przekonywać, że zdrowie jest zbytkiem ludzi ubogich i że on nie wyleczy się z choroby, bo nie wyleczy się z nędzy. Zwracam jednak uwagę humorystów na ten wypadek bardzo zabawny. Podobno tragedya najczęściej zaszywa się w śmieszność. Niewątpliwie, gdy żydek z rozkazu Radziwiłła musiał wleść na drzewo i udawać kukawkę, a potem postrzelony spaść na ziemię, zapewne podczas tej farsy doznawał jakiegoś bólu: ale to jego sprawa, nasza — śmiać się. Podobnie gdy inny żydek pije osiemnaście kufli gorącej wody, nie mając pieniędzy na lekarza i dłuższy pobyt, niewątpliwie cierpi; ale to także jego interes, nasz — szukać rozweselających widoków. Ponieważ zaś lekarze zabraniają poważnych rozmyślań, więc zastanawiam się: ilu też biedaków mogłoby odbyć kuracyę w Karlsbadzie za koszt ogona sukni tej damy, która mnie mija i tak ślicznie się uśmiecha?

Poseł Prawdy.



DOROBEK SOCYOLOGICZNY.

Ukazał się świeżo drugi rocznik *Przeglądu socyologicznego* (*Annee Sociologique*), wychodzącego w Paryżu pod redakcyą Emila Durkheima. Zawiera on tak samo, jak i jego poprzednik, parę rozpraw z zakresu socyologii, następnie zaś idą rozbiory donioślejszych prac socyologicznych, które pojawiły się w ostatnich czasach. Oba naczelne przyczynki w roku bieżącym są poświęcone „socyologii religijnej.“ Jest tam naprzód praca samego redaktora, zajmująca się kwestyą definicyi zjawisk religijnych: następnie zaś zbiorowa monografia K. Huberta i M. Maussa o naturze i zadaniach ofiar. Zamieszczenie na czele rocznika rozpraw takiej treści bynajmniej nie jest dziełem przypadku, ale wiąże się z całokształtem zapatrywań redakcyi. „Może ktoś zdziwi się pierwszeństwu, jakie oddaliśmy tej kategoryi objawów: ale to dlatego, że są one zarodkiem, z którego wszystkie inne, a przynajmniej prawie wszystkie inne wyszły. Religia zawiera w sobie w zasadzie, choć w stanie bardzo niejasnym, wszelkie pierwiastki, które rozkładając się i przybierając charakter bardziej określony, nadto łącząc się tysiącznymi sposobami same z sobą, dają początek rozmaitym zjawiskom życia gromadnego. Wiedza i poezya wyszły z mitów i legend: sztuki plastyczne zrodziły się z ornamentyki religijnej i obrzędów kultu, prawo i moralność powstały z rytuału. Niepodobna pojąć naszych poglądów na wszechświat, naszych wyobrażeń filozoficznych o duszy, nieśmiertelności i życiu, jeśli nie zatrzymamy się nad wierzeniami religijnemi, stanowiącemi ich pierwszą formę. Pokrewieństwo rozpoczęło się od tego, iż pierwotnie było tylko węzłem natury religijnej: kara, kontrakt, upominek, cześć przedstawiają tylko przekształcenie ofiary skruszonej, komunii itd. Co najwyżej, możemy zadać sobie pytanie, czy organizacya ekonomiczna nie jest wyjątkiem i czy nie pochodzi z innego źródła: chociaż, co do nas, nie podzielamy tego zapatrywania, przystajemy jednak na to, ażeby rozpatrzyć tę kwestyę. Jest rzeczą niewątpliwą, iż mnóstwo zagadnień zmienia zupełnie swoją postać z chwilą, w której przyznaliśmy związek ich z socyologią religijną.

Nie wdajemy się w rozbiór tego założenia, poprzestajemy tylko na stwierdzeniu poglądów redakcyi *Rocznika socyologicznego*. Winniśmy także wskazać jeszcze inny punkt, mianowicie odparcie zarzutów, iż nadmiernie rozszerzone szranki socyologii, zaliczają do niej działy także historyi kultury i w ten sposób daleko wybiegają po za zadania tak zwanej socyologi ogólnej. „Jeśli ktoś, jak często się zdarza, widzi w socyologii naukę wyłącznie filozoficzną, poniekąd metafizykę nauk społecznych, ten może uważać przyczynki konkretne, jakie poddamy rozbiorowi, za niestosowne. Ale nasze główne zadanie polega właśnie na walce przeciw temu sposobowi pojmowania i praktykowania socyologii. Bynajmniej nie chcemy zaprzeczać istnienia socyologii ogólnej, stanowiącej dział filozoficzny naszej nauki, nawet przyznajemy, iż socyologia w początkach nie mogła i nawet nie powinna była posiadać innego charakteru. Ale nastąpiła chwila wyjścia ze sfery takich ogólników i przejścia do większej specyalizacyi. Nie złączy się ona z gałęziami specyalnemi, oddawna istniejącemi, a przynajmniej jeśli coś podobnego się zdarzy, to dopiero po przekształce-

nia ich przez nią. Nie omieszka jednak tam wnieść ducha nowego. Da ona świadomość tego, iż pomiędzy tymi wszystkimi faktami, badanymi dotychczas przez specyalistów w zupełnej niezależności jeden od drugiego, istnieje ścisła zależność. Fakty te są nietylko solidarne — w tem znaczeniu, że niepodobna pojąć jednych w odosobnieniu od innych, ale także co do swojej istoty posiadają tę samą naturę, jako różnorodne objawy tej samej rzeczywistości społecznej. Dlatego nietylko prawnik powinien poznać naukę religii, ekonomista rozwój zwyczajów, ale nadto te wszystkie gałęzie wiedzy, badając przedmioty tego samego rodzaju, powinny trzymać się tej samej metody.“

Korzystając z objęcia przez *Rocznik socyologiczny* całokształtu przyczynków do socyologii, postaramy się przedstawić postęp, dokonany w ostatnim roku przez niektóre działy obchodzącej nas nauki.

I. *Socyologia antropologiczna.*

Rozpoczynamy od socyologii antropologicznej, która niezaprzeczenie należy dzisiaj do bardzo modnych. Na porządku dziennym są po dawnemu teorye Ammona i Lapouge'a o wyższości antropologicznej typu blondynów długogłowych, jako inicyatorów postępu, dokonywanego przez społeczeństwo. Zresztą ostatnie czasy nie przyniosły żadnego większego pogłębienia doktryny, jedynie przyczyniły się do rozpowszechnienia założeń, wygłaszanych przez odpowiednią szkołę. W Niemczech Ammon, we Francyi Lapouge, wreszcie w Stanach Zjednoczonych profesor uniwersytetu w Chicago, Closson, są niezmęczonymi szerzycielami poglądu, iż czynniki antropologiczne górują nad innymi w kształtowaniu stosunków pożycia społecznego. Prąd w tym kierunku jest tak silny, zapał zaś tak znaczny, iż nawet we Friburgu, pod kierownictwem prof. Schemanna, powstało specyalne „Towarzystwo Gobineau,“ liczące przed dwoma laty około stu członków. Ma ono na celu wydanie w języku niemieckim wszystkich dzieł tego historyka-antropologa. Dla zrozumienia rzeczy dodamy, iż wymieniony pisarz, oddawna zmarły, jeden z dyplomatów Napoleona III, jest przez Lapouge'a uważany za pierwszego teoretyka, który podniósł znaczenie pierwiastków rasowych w rozwoju społecznym i między innemi wskazał przodującą rolę żywiołów blondynowych w postępie więzi społecznej.

Najważniejszymi przyczynkami do socyologi antropologicznej w roku ubiegłym są prace samego Lapouge'a, mianowicie jego artykuł, zamieszczony w pewnem czasopiśmie naukowem francuskiem i zatytułowany: „Zasadnicze prawa antropo-socyologii.“

Antropolog ten usiłuje w nim streścić ogólne wyniki, do jakich doszedł w swoich studyach dotychczasowych nad społeczeństwami Europy zachodniej, a zatem, jak widzimy, w zakresie względnie bardzo nieznacznym. Przytaczamy poniżej te „zasadnicze“ prawa, przytem z góry zaznaczając, iż pod nazwą „Homo Europaeus“ Lapouge rozumie długogłowego blondyna, jako zaś „Homo Alpinus“ występuje u niego krótkogłowiec środkowo-europejski, zamieszkujący przedewszystkiem okolice górzysto środkowych dzielnic naszej części świata. Prawa, o których wspomnieliśmy, brzmią:

W kraju, w którym zaludnienie składa się z mieszaniny blondyna długogłowego i alpejskiego, bogactwo narodowe wzrasta w stosunku odwrotnym do wielkości wskaźnika głównego, że zatem jest większe tam, gdzie wskaźnik ów niższy i gdzie żywioły długogłowe europejskie są obfitsze.

W okolicach, w których oba powyżej wymienione typy przebywają obok siebie, alpejczyk usadawia się przeważnie w dzielnicach górzystych, wówczas gdy „europejczyk“ chętniej zajmuje niziny.

Większe i zwłaszcza bardziej przemysłowe miasta prawie wyłącznie leżą w okolicach, w których panuje żywioł blondynów długogłowych, lub w okolicach krótkogłowych kraju, ale mniej zasobnych właśnie w pierwiastek odpowiedni, tj. krótkogłowy.

Wskaźnik przeciętny ludności miejskiej jest stale niższy, aniżeli wskaźnik otaczającej ludności wiejskiej.

Jeśli badać będziemy grupy zaludnienia pewnego kraju, rozsprzęgające się i oddzielające we własnem łonie za pośrednictwem wychodźctwa, to okazuje się zawsze, iż emigrują pierwiastki mniej krótkogłowe.

Wskaźnik główny, tj. stosunek największej szerokości czaszki do jej największej długości, bywa stale niższy u dzieci, pochodzących od rodziców, którzy wyszli z różnych krajów aniżeli u dzieci, zrodzonych ze stadeł małżeńskich jednej narodowości.

Pierwiastki rasowe, wyzwolone z połączenia lub wzajemnego pomieszania, sadowią się w ten sposób, iż żywioły ruchliwsze, wychodźcze, zośrodkowują się w ogniskach długogłowości, tymczasem krótkogłowcy, a raczej, mniej ruchliwi, pozostają na miejscu i nadają okolicy odpowiedni charakter rasowy, tj. krótkogłowy.

Życie wielkomiejskie jest widownią najrozmaitszych doborów rasowych, które stale dążą do wyrugowania lub unicestwienia tam pierwiastków krótkogłowych.

Wskaźnik główny zmniejsza się w swojej wielkości w miarę tego, jak przechodzimy od niższych warstw pewnego narodu europejskiego do wyższych, i w odpowiednim stosunku wzrasta tam liczba długogłowców blondynowych.

Natomiast praca naukowa sprzyja nietylko powiększeniu wogóle wszystkich wymiarów czaszki, ale także sprawia wzrost szerokości czaszkowej, tak iż wraz z nią pojawia się tam również większa liczba kształtów krótkogłowych.

Wreszcie co do przeszłości, im dalej cofamy się w wieki ubiegłe, tem obfitość pierwiastków długogłowych wśród społeczeństwa jest większą.

Wszystkie te objawy wiążą się nawzajem i stwarzają dalsze prawo, które Closson zaproponował nazwać imieniem Lapouge'a, mianowicie prawo większej działalności społecznej i historycznej „europejczyka.“

Poprzestajemy na wymienieniu tylko tej pracy, inne bowiem nie dodają nic nowego do założeń badacza francuskiego, lecz tylko ją popularyzują lub popierają za pomocą faktów. Natomiast wskażemy cenną książkę (w chwili obecnej bowiem artykuły W. Ripley'a prawdopodobnie ukazały się jako oddzielna książka) innego profesora uniwersytetu w Chicago. Nazwisko jego wymieniliśmy w nawiasie. Jest to pierwsza, dodajmy, sumienna próba uporządkowania materyału faktycznego, zebranego przez antropologię co do rozmieszczenia typów rasowych na przestrzeni globu, specyalnie zaś w krajach cywilizacyi białych. Mnóstwo schematów i map statystycznych uzupełnia wywody Ripley'a. Nie wdajemy się w bliższe szczegóły o tej znakomitej pracy, ponieważ nawet nie mielibyśmy nic więcej do nadmienienia. Autor bowiem poprzestaje na skrupulatnem zanotowaniu całokształtu zebranych faktów i na danu pojęcia o tem, co dotychczas zrobiono na polu antropologii rasowej. Pod ręką antropologa amerykańskiego odpowiednia nauka przybrała zgoła inny charakter — istotnej antropologii. Podręczniki bowiem dotychczas istniejące były raczej tylko przepisami robienia pomiarów, wreszcie anatomią (główie osteologią) rasową — niczem innem. Dopiero Ripley nadał jej postać nauki o rozmieszczeniu pierwiastków rasowych — etnologii i geografii rasowej.

Warto także wymienić pracę zasłużonego badacza włoskiego, Sergiego. W jednej z nich p. t. „Dane antropologiczne w socyologii,“ badacz włoski występuje w sposób polemiczny przeciw nadużyciu pojęcia „rasa“ przez prof. Gumplowicza. Rasa taka, jaka figuruje w wywodach wspomnianego antropologa, dla Sergiego wcale nie jest rasą, ponieważ drobne ludy, zamieszkujące wybrzeże morza Śródziemnego i znajdujące się w nieustannej walce wzajemnej, wszystkie należały do tego samego typu rasowego. Antagonizmy pomiędzy nimi wynikały z czynników wyłącznie społecznych, obcych wszelkiej różnicy antropologicznej. W dalszym ciągu także poddaje on krytyce teoryę wielopochodności, odgrywającą taką znaczną rolę w rozumowaniach prof. Gumplowicza. W nowych pracach swoich Sergi wprowadza próbę nowego podziału typów antropologicznych europejskich, opartą nie tyle na wielkości wskaźnika głównego, jak to widzimy u Lapouge'a, lecz wogóle na całym wyglądzie kształtów czaszki. Według niego typy, istniejące obecnie w Europie, należą do dwóch odmian: jednej, którą ochrzcił mianem rasy eurafrykańskiej, i drugiej, euraзyatyckiej. Pierwsza w odległych czasach wyłącznie zaludniała nasz ląd, prawdopodobnie najbardziej zbliżając się do obecnych śródziemnomorców, tj. brunetów długogłowych. Ale w okresie późniejszym nadeszły zagony krótkogłowców z Azyi, które klinem wdarły się pomiędzy eurafrykanów i rozdzieliły ich na dwie grupy. Północna, tj. ta, którą to najście odepchnęło na północ Europy, pod wpływem tamtejszych warunków klimatycznych utraciła pierwotną cerę śniadą i wydała z pośród siebie typ obecnego blondyna podłużnogłowego. W gruncie rzeczy, pomimo różnicy nomenklatur, klasyfikacye Lapouge'a i Sergiego są te same. W dalszym ciągu antropolog włoski, za pomocą danych antropologicznych, stara się rozwiązać kwestyę początków aryjskich oraz rozpowszechnienia się mowy aryjskiej na przestrzeni Europy południowej, która niegdyś bynajmniej nie była aryjską, jak jest dzisiaj. *K.*

Stefan Ramult. *Statystyka ludności kaszubskiej,* z mapą etnograficzną Kaszub. Kraków, 1899.

Brak dokładnych cyfr, dotyczących statystyki Kaszubów, skłonił p. Stefana Ramulta do podjęcia tej pracy samodzielnie, co starał się wykonać bądź przez wędrówki po Kaszubach, zasięgając wiadomości od proboszczów, organistów i t. p., bądź przez odpowiedni kwestyonaryusz korespondencyjny. Spisom urzędowym niezbyt dowierzał, zwłaszcza że roboty takie, opracowane na podstawie schematyzmu biurokratycznego, ukrywają dążności szowinistyczne, wyzyskujące wszystko na korzyść swojego programatu. Ofiarą tej tendencyi stali się Kaszubi protestanci, zaliczeni w poczet ludności niemieckiej. Tych, którzy, oprócz swojej, władają mową niemiecką, podciągnięto pod kategoryę „dwujęzycznych“. Wobec tych wątpliwości autor wziął głównie na uwagę język ojczysty i wyznanie jednostek, pomijając zupełnie kwestyę narodową, nader w pojęciach miejscowego ludu niewyrobioną. Wiadomo, że Kaszubi, którzy w domu mówią po kaszubsku, w kościele, będąc katolikami, modlą się po polsku, ewangelicy zaś śpiewają w zborach i słuchają kazań po niemiecku. Kaszuba-katolik nazywa się Polakiem, ewangelik — Niemcem. To mąci sprawę i nie pozwala wywikłać się z niej niezbyt doświadczonemu statystykowi. Etnologią i antropologią trudno sobie ra-

dzić, bo osoby pochodzenia niemieckiego, mówiące w domu po koszubsku, nie mogą być zaliczone do Niemców, gdyż same się za takich nie uważają; przeciwnie, Kaszubi, nieznający mowy i zwyczajów ojczystych, zupełnie się zgermanizowali i nic wspólnego już z kaszubszczyzną nie mają. To są właśnie pobudki, które zmusiły p. R. do obrania tej a nie innej drogi. Pocz et więc Kaszubów stanowią ci wszyscy, co mówią w domu po kaszubsku bez względu na wyznanie i pochodzenie, zazwyczaj od właściwej narodowości nieodróżniane.

Mimo szczerbów w ludności, przez germanizacyę i wychodźtwo uczynionych, płodność tego plemienia zapełnia pomału wszystkie braki, które nie pozwalają rozpaczać o jego przyszłości.

Powiaty: pucki, kartuski, wejherowski, chojnicki, gdański górski (t. j. wyżyny gdańskie, po niem. Danziger Höhe), człuchowski, lęborski, słupski, gdański miejski (Gdańsk z okręgiem, po niem. Danziger Stadtkreis) liczą 174,831 Kaszubów. W tej liczbie przeważają katolicy, bo ewangelików wypada 6 procent. W Prusach Zachodnich jest tej ludności 160,000, a na Pomorzu 14,000. Przez nazwę Pomorzu, w znaczeniu spółczesnem, rozumie się skrawek ziemi między Prusami Zachodniemi, Brandenburgią a ks. Meklenburgskiem. W W. Ks. Poznańskiem mieszka ich około 737, przeważnie ewangelików. Są oni rozproszeni po wszystkich krajach niemieckich, tudzież w Danii, Austryi i Królestwie Polskiem. Ameryka liczy Kaszubów około 60,000. W sprawie statystyki polemizuje autor z pp. Nadmorskim i Parczewskim, których cyfry znacznie są niższe.

Nie schodzi ze swojego stanowiska lingwistycznego co do mowy kaszubskiej, uważając ją za odrębny od polskiego język literacki. Ponieważ autor w „Słowniku jęz. pomorskiego“ przedmiot ten nieco obszerniej traktował, co wywołało ożywione między specyalistami spory, przeto dalszą z nim polemikę za zbyteczną uważamy, zwłaszcza, że p. R. w pracy niniejszej głównie zajmuje się statystyką. Zwracamy atoli uwagę jego na termin „pomorski“, który nam się wydaje zbyt ogólną nazwą dla kaszubszczyzny. Nie będziemy rozbierali, czy Kaszubi są resztkami Pomorzan, czy też odrębnem od tego szczepu plemieniem, bo to rzeczy nie zmieni; jednakże przypominamy, że kronikarz XIV w., Janko z Czarnkowa, wspominając o zmarłym w r. 1377 Kazimierzu z przydomkiem „Kasko,“ nazywa go księciem dobrzyńskim, bydgoskim, *pomorskim, kaszubskim i szczecińskim*. Wyróżnienie to musiało mieć wtedy zasadę etnograficzną i z niego dopiero powstać mogła nazwa polityczna. Nazwa, użyta przez kronikarza, wskazuje, że jeżeli Kaszubi stanowią bądź odrośl Pomorzan, bądź też inne jakieś od nich plemię, to uważani w stosunku do całego szczepu nie mogą być jego przedstawicielami: bo dla odegrania takiej roli należałoby przypuścić, że dawni Pomorzanie posługiwali się jednym wspólnym językiem literackim, tj. że byli narodem historycznie rozwiniętym, jakim jest dzisiaj naród polski, czeski i t. p. Sądzimy, że termin „kaszubski“ mniej od „pomorskiego“ przedstawia wątpliwości. Nie przeszkadza to, aby kaszubszczyzna, będąca gwarą polską, nie mogła się rozwijać literacko, jak to widzimy na przykładach Cenowy i Derdowskiego. Sądzimy, że każda gwara mogłaby się rozwinąć i wytworzyć sobie stanowisko języka literackiego, na co jednak tradycyi i długich potrzeba wieków.

Zanotować nam należy spostrzeżenia p. R. co do nazw miejscowości na *owo* zam. *ów* (Bytowo, Wejherowo zam. Bytów, Wejherów) i t. p. Jest to, zdaniem autora, przemiana kaszubskiego *owo, ino* lub *eno* na polskie *ow, in*. Nie będę spierał się z autorem o pewną niedokładność morfologiczną, że o tudzież *i, e*, w *owo, ino, eno*, nie należy do przyrostka, bo jest częścią tematu, ale pozwolę sobie zauważyć, że formy *owo, ino, eno* bynajmniej za odrębnością kaszubszczyzny nie przemawiają. W przejściu rodzaju nijakiego na męzki niemałym czynnikiem był dobór czyli analogia do form pierwotnie męzkich. Formy nijakie zaliczyć należy do archaizmów języka polskiego; zachowały się one właśnie w gwarze kaszubskiej, czego liczne mamy ślady nietylko w dyplomatach wielkopolskich i kujawskich, ale i w małopolskich. W Piekosińskiego Kodeksie katedry krak. (*Monumenta medii aevi hist. Polon. Mustor.* T. I) czytamy pod r. 1252... *Junikowo*... pod 1260... monasterij de *Wachocko*...(Wąchock) villa que dicitur *Scarzysko*. W t. III mamy *Corowo* (Kurowo zam. Kurów)... *Lissono* (dziś Lisów)... *Grzemcino* (Grzmucin). W kodeksie wielkopolsk. (*Codex diplom. Majoris Poloniae*) obfitość terminów nijakich: *Dalachowo, Opatowo, Zubno, Brdowo* i t. p.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA

LITERATURA POLSKA.

Artur Gruszecki: *Szarańcza*, powieść współczesna, 3 tomy, str. 497, Warszawa, 1899, nakładem *Gazety Polskiej*. — *Szachraje*, powieść współczesna, 2 tomy, str. 560. Warszawa, 1899, nakład Jana Fiszera.

Pisząc w *Prawdzie* pół roku temu o nowych powieściach Artura Gruszeckiego („Krety,“ „Hutnik“ „W starym dworze“), mieliśmy sposobność zauważyć, że autor ten unika w swych utworach szablonu i pospolitości, szuka dla nich treści świeżej i żywotnej, usiłując rozszerzyć widnokręgi myśli i uczuć, oraz zakres wiadomości czytelników — nowemi, nieznanemi im lub mało znanemi stronami życia, których objawy zasługują z tego lub innego względu na podniesienie. Świeżo wydane powieści p. Gruszeckiego, których tytuły— nawiasem mówiąc, niezbyt szczęśliwie dobrane — wypisaliśmy w nagłówku, potwierdzają w zupełności pogląd powyższy, świadcząc zarazem o dużym zapasie nagromadzonych przez powieściopisarza obserwacyj, pozwalającym mu w krótkich stosunkowo odstępach czasu wprowadzać czytelnika w coraz to nowe, ciekawe, a zawsze szerszemu ogółowi mało znane lub nawet obce zupełnie dziedziny.

Po ciemnych czeluściach kopalni węgla, pochłaniających, jak legendowe paszcze smoków, setki ofiar ludzkich: po trójbarwnych, jadowitych, jak żmije, płomieniach pieców hutniczych; po starym dworze szlacheckim, w którym dziś obce zapanowały żywioły — przyszła kolej na tę pokojową walkę na śmierć i życie, którą świat słowiański prowadzi od wieków na swych kresach zachodnich z zalewającą go falą germańską. To ścieranie się dwóch wrogich prądów, z których jeden zachować tylko pragnie łożysko swe odwieczne, a drugi wypiera go z niego gwałtownie, bezlitośnie, osłaniając hasłami kulturalnemi instynkty najbrutalniejsze, odmalowane zostało w „Szarańczy“ na tle nietkniętych prawie przez beletrystykę naszą stosunków prusko-szląskich.

W powiatowem mieście Bytomiu żyją obok siebie przedstawiciele dwóch wrogich sobie wzajemnie narodowości. Jedna z nich, rozbudzona niedawno do życia, a złożona z żywiołów rdzennych, utrzymać pragnie wiarę i język swych przodków, zachować usuwający się grunt pod nogami, obronić swą indywidualność plemienną i narodową. Druga, pełna odziedziczonej po Krzyżakach pychy i buty bezwzględnej, przeświadczona o swej wyższości i olbrzymich zadaniach cywilizacyjnych, głosząca otwarcie zasadę siły przed prawem, nie cofa się przed żadnym środkiem w swem dążeniu do zupełnej zagłady żywiołów miejscowych, do wydarcia im siedzib, odebrania zarobków, a przedewszystkiem do pozbawienia ich wszelkich cech odrębnych i zatopienia na zawsze w szarych falach morza pruskiego. Ogniwo pośrednie między tymi dwoma światami stanowi w powieści postać zniemczonego Szlązaka, Henryka Krempy, współpracownika szlązakożerczej gazety *Ostmark*, a proces stopniowego rozbudzania się w nim i w jego rodzinie poczucia narodowego, aż do zupełnego przeistoczenia się tych dobrych z gruntu natur, wykrzywionych tak dziwnie przez warunki wychowania i życia, stanowi treść zasadniczą nowego utworu autora „Rugiwojskich“ i „Kretów.“

W „Szarańczy,“ jak zwykle u p. Gruszeckiego, w równym stopniu zasługuje na uwagę akcya powieści, oraz charakterystyka występujących w niej postaci i sylwetek, jak i ogólne tło utworu, zarysowujące się najwyraźniej w scenach zbiorowych, gdzie mamy już do czynienia nie z uczuciami i dążeniami pojedynczych jednostek, lecz z psychologią wielkiego osobnika zbiorowego—gromady, tłumu. Tłem takiem, jak zaznaczyliśmy, są w tym utworze wzajemne stosunki Szlązaków i Prusaków i wykwitająca na tym podatnym gruncie zobopólna ich nienawiść. To żywiołowe uczucie, odmalowane przez autora z właściwym mu objektywizmem, jest jednym z zasadniczych tonów powieści, przesiąka ją nawskroś i rzuca nam się w oczy od pierwszego rozdziału, w którym patrzymy z przykrością na bezmyślną gromadę dzieci niemieckich, miotających kamienie i obelgi na kilka spotkanych w drodze Szlązaczek, aż do stronic ostatnich, malujących w żywych barwach uczucia, wywołane wśród Niemców zwycięstwem kandydata szląskiego na wyborach do parlamentu.

Polityka odgrywa w „Szarańczy“ rolę wybitną. Chwilami nawet doznajemy wrażenia, że jest jej tam trochę za dużo, że miesza się zbyt często do gruchań zakochanych, a zwłaszcza do rozmów salonowych, w których przecież ludzie, należący do pewnych sfer towarzyskich, nie mają zwyczaju skakać sobie przy lada sposobności do oczu, chociażby nawet różniły ich obozy, dążenia i pochodzenie. Na usprawiedliwienie autora to zrosztą przytoczyć można, że na tory polityczne wprowadza on najczęściej dyskusyę za pośrednictwem doktora Dauma, wybornego przedstawiciela buty i arogancyi teutońskiej i zapalonego czciciela pikelhauby pruskiej we wszelkich jej odmianach i kształtach, umiejącego jednak w danym razie, gdy idzie np. o pozyskanie względów i zaufania pięknej a łatwowiernej Szlązaczki, przybrać się w sposób efektowny w płaszcz sentymentalizmu werterowskiego.

„Ty jesteś mi wszystkiem — woła w uniesieniu do udającej Niemkę i nawet patryotkę pruską, Herminii Chromikowny — ty jesteś bóstwem, którego czekałem, pożądałem i pragnąłem. Ty jesteś dla mnie wodą chłodzącą, balsamem kojącym, ogniem dobroczynnym! Jesteś duszą moją, siłą moją i śmiercią moją! W marzeniach moich widziałem cię taką, byłaś piękną, z tym kwiatem jesiennym we włosach wonnych, byłaś dobrą, pobłażliwą, pełną litości i przebaczenia. I uśmiechałaś się tak samo i obdarowywałaś mnie szczęściem, rozkoszą, miłością, zawsze pogodna, dobra, współczująca! Kocham ciebie i choćby świat nas rozłączył, ja pójdę za tobą i będę ci obrońcą, zasłoną, tarczą przeciwko wszystkim i wszystkiemu, bo kocham

cię każdem tchnieniem mych ust, każdą kroplą krwi mojej, każdą myślą moją! Czy ty to rozumiesz? czy słyszysz? Jesteśmy złączeni nierozerwalnymi węzłami i już nic nie może nas rozłączyć."

A wkrótce potem, gdy — jak rzecz tę omawia autor — doktor Daum nie mógł już zarzucić swej kochance, że tylko wyznaniem, pocałunkiem i uściskiem stwierdza swoją miłość względem niego, nie zawaha on się zawiadomić Herminii listownie, że matka jego, „mimo próśb, przedstawień i błagań," nie dała się zmiękczyć, że na myśl o połączeniu się syna ze Szlązaczką wzdryga się jej dusza, że więc on, Daum, który chętnie podjąłby się oczekującej go walki ze światem i wszystkimi przesądami antiszląskimi, nie może się narażać na walkę z własną matką, i dlatego „z bólem serca i rozpaczą w duszy" musi się wyrzec wymarzonego szczęścia, pozostając „zawsze kochającym i nieutulonym w żalu" — doktorem Daumem.

O, bo tacy panowie, jak nasz bohater, nietylko na Szląsku umieją się zdobyć na szlachetność, a dobroć swą i ofiarność posuwają czasem bardzo daleko, zachowując na ostatnią chwilę „jeden sposób śmiały, ryzykowny," wymagający ze strony kobiety miłości i poświęcenia, ale pozwalający jej żyć wspólnie z ukochanym. „Znajdę mieszkanie ładne, miłe, słoneczne: tam zamieszkasz ze służącą; będę cię odwiedzał często, bardzo często... wszelkie koszta poniosę sam..."

A kobiety? Jedne bez wahania zgadzają się na propozycyę taką, jak córka Piotra Caruso w granym niedawno na scenie naszej dramacie włoskim; inne, jak Zuzia Uraczanka w „Hutniku" p. Gruszeckiego, której romans z pomocnikiem dozorcy przypomina w wielu szczegółach historyę Dauma i Herminii, nie mogąc przeżyć zawodu, myślą z rozkoszą o śmierci, którą witają z uśmiechem, jako jedyną ucieczkę, jedyny ratunek i ukojenie pożądane; inne wreszcie, do których należy piękna siostra pani Maryi Krempowej, zdobywają się w pierwszej chwili na okrzyk: „Podły!.. wyjdź, wyjdź!.. Podły!.." — lecz później, później... Autor nic nie mówi nic o tem, czytelnik jednak nie może się oprzeć wątpliwości, czy rzeczywiście taka panna Herminia, jaką poznajemy w powieści, nie zgodzi się nigdy na odrzucony zrazu z oburzeniem plan Dauma lub kogoś innego w tym guście. Pierwszy krok zrobić zawsze podobno najtrudniej, a ten ją przecież nie kosztował chyba zbyt wiele..

Odbiegliśmy nieco od głównego wątku „Szarańczy," w którym stosunek miłosny doktora i Herminii odgrywa rolę drugorzędną, epizodyczną. Ani Daum, ani ładna, powabna, chociaż, według Prusaka, za szczupła trochę, panna Chromikówna, nie są bynajmniej głównemi postaciami powieści, jak nie należą do nich również redaktor Sternweg, ani szwagier jego, pan Leopold Müller, ani wielki działacz i sekretarz kasy oszczędności, Krüger, ani rektor Lachsfeld, ani żadna z długiego szeregu sylwetek kulturträgerów bytomskich, żyjących przeważnie, z wyjątkiem jednego Dauma, życiem papierowem, książkowem i skutkiem tego ulatniających się prędko z pamięci. W postaciach tych widzimy tylko kontury ogólne, poznajemy je z jednej tylko strony, ze strony ich nienawiści, pogardy, ignorancyi względem wszystkiego, co szląskie lub polskie. Rysy indywidualne każdej z nich zacierają się tak, że ostatecznie cały ten tłum prowincyonalnych szermierzy wielkiej idei pruskiej pozostawia po sobie wrażenie chaotyczne i blade.

Do pierwszorzędnych postaci utworu należą z jednej strony Henryk Krempa i jego synek Adalbert, mający się zmienić z czasem, pod wpływem rozmów ze służącą Teklą i prześladowań ze strony władzy szkolnej za pochodzenie szląskie, w zwyczajnego polskiego Wojtusia, a z drugiej — sympatyczna para, złożona z Jerzego Sobolskiego, redaktora „Pochodni" i głównego obrońcy Szlązaków, oraz Eweliny Kruger, znakomitej artystki, zdolnej do uczucia głębokiego względem znienawidzonego przez wszystkich Niemców bytomskich „Waserpolaka" i przerastającej wogóle otoczenie swe całe o głowę.

Tu również wymienić należy panią Maryę Krempową, która jednak, zrazu bierna, niezdecydowana i niewyraźna, dopiero w drugiej połowie powieści, pod wpływem wspomnień dzieciństwa, czaru mowy ojczystej, przekleństwa, rzuconego na jej męża przez zagorzałego Szlązaka, wuja Szymiczka, a zwłaszcza pod wpływem zranionych uczuć macierzyńskich, ciężkiej choroby dziecka i wreszcie szeregu wrażeń różnorodnych, doznanych podczas wycieczki do Częstochowy, wyrasta na postać żywą i zajmującą. Wartka fala życia rozbudza niejako z uśpienia tę dobrą z natury, niewznoszącą się jednak ponad poziom przeciętności, duszę kobiecą, w której długo troska o byt materyalny głuszyła wszystkie lepsze porywy.

Czy zupełne odrodzenie Henryka Krempy, który ze współredaktora gadzinowej gazetki „Ostmark" staje się, narówni z Sobolskim, jednym z filarów sprawy szląskiej, zostało umotywowane dostatecznie? Tu, naturalnie, jak zresztą prawie zawsze w beletrystyce, musimy trochę wierzyć autorowi na słowo. To pewna jednak, że zgromadził on skrzętnie i przesunął przed oczyma naszemi wiele pojedynczych czynników, które w sumie mogły niewątpliwie wydać rezultat podobny. Nieprawdopodobnym tylko wydaje mi się pomysł redaktora Sternwega użycia Krempy za narzędzie zemsty nad własną żoną, pomysł, grający w życiu odradzającego się Szlązaka rolę przysłowiowej kropli, przepełniającej czarę. Pan Sternweg, mimo całej buty pruskiej, był chyba zbyt przewidujący i ostrożny, aby w ten sposób, dla drobnostki ostatecznie, narazić sobie nieopatrznie jednego z najcenniejszych współpracowników.

Do najbardziej zajmujących i najlepiej zrobionych postaci powieści należą Ewelina i Sobolski, a dramatyczne dzieje ich miłości, zakończone tym telegramem wymownym: „Nie przyjadę. Bądź zdrowa. Żegnam cię na zawsze" — nakreślone zostały przez autora z subtelnością, do jakiej pierwszy raz może wzniósł się on dotąd w tym stopniu.

Sobolski, apostoł idei narodowych wśród Szlązaków, spotyka na polu walki, wśród wrogów, istotę pod każdym względem wyjątkową, z którą go łączą wspomnienia pierwszej młodości i bliskie pokrewieństwo duchowe, do której go ciągnie siła doboru i jakiś czar dziwny, roztaczany przez artystkę dokoła. Oni wiedzą oboje, że dziwną zagadką jest życie wewnętrzne człowieka, że są tam „szczyty tak zawrotne, że bliżej jest Boga, niż najwyższa gwiazda, i przepaści, na których dnie siedzi blada trwoga i pełza zbrodnia." Sobolski w chwili podniecenia silnego zapomina o pętach materyalnych. „Dzisiaj pochowałem przyjaciela i towarzysza broni; dzisiaj widziałem obelgę i zelżenie ludu mego: dzisiaj słyszałem o nowych krzywdach... i dzisiaj czuję się bardzo szczęśliwym. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, czy to jest szczyt, czy przepaść — to jedno wiem, że kocham panią."

Ale są ludzie, którym nie wolno marzyć o szczęściu osobistem. Zrzucone na chwilę pęta przyjdą się upomnieć o swe prawa wżerą się w duszę nanowo. Głosy Szlązaków, nieznających się na subtelnościach uczuć, lecz odrzucających z oburzeniem, jako niegodziwą potwarz, pogłoskę samą o małżeństwie z Niemką ukochanego redaktora „Pochodni," który ich tyle razy od podobnych kroków odwodził, przypomną Sobolskiemu jego obowiązek i ten bolesny dlań pewnik, że są placówki, których opuszczać nie wolno, że są położenia, z których jedynem wyjściem jest wyrzeczenie się szczęścia własnego. Więc z sercem rozdartem pozostanie na stanowisku, wyszle do Eweliny ową depeszę fatalną, i nikt się może nie dowie, jak wiele poświęcił dla ukochanej nad wszystko idei i czego wyrzekł się dla niej.

(D. n.).

Władysław Bukowiński.

LITERATURA ANGIELSKA.

Oscar Wilde: *The critic as artist.*

Krytyka może być pojętą bądź jako badanie naukowe, bądź też jako rodzaj twórczości artystycznej. Dwa te punkty widzenia bynajmniej sobie nawzajem nie przeszkadzają, a ich współistnienie stanowi nawet konieczność praktyczną. Pierwszy znany jest z dzieł Taine'a, drugi doskonale został rozwinięty przez Wilde'a w dwu wspaniałych rozprawach filozoficznych. Przedstawimy tu bieg rozumowania jego

Krytyka wymaga daleko większej kultury, niż twórczość. Każdy może napisać powieść trzytomową. Wystarcza po temu zwykle zupełna nieznajomość i życia i literatury. A gdy mamy dzieło napisane z talentem, to krytyk znajduje się względem niego w takiem samem położeniu, w jakiem autor się znajdował względem przedmiotu opisywanego. Krytyka sama jest sztuką twórczą, która operuje na materyałach dostarczanych przez autorów i nadaje im nową formę. Cóż innego czyni poczyń? Krytykę można nazwać twórczością w twórczości. Wielcy artyści, zaczynając od Aeschylosa a kończąc na Shakespearze i Goethem, nie zwracali się bezpośrednio do życia po tematy, lecz szukali ich w mitach, legendach i baśniach; tak samo krytyk posługuje się materyałami, które inni już dla niego przygotowali i oczyścili. W tym sensie możnaby powiedzieć, iż krytyka jest najwyższym rodzajem twórczości — jest bowiem najczystszą formą wrażenia osobistego. Wprawdzie sądzą niektórzy, iż zadaniem krytyki jest widzieć rzeczy takiemi, jakiemi są, ale to błąd, gdyż zadanie to nie jest wykonalne. Krytyk odsłania nam zwykle nie cudze, lecz własne sekrety — i inaczej być nie może. Zresztą, co to kogo interesuje, czy poglądy Ruskina na Turnera są słuszne, czy nie? Jego potężna i majestatyczna poza, tak dumna w szlachetnej swej wymowności, tak wypracowana pod względem muzykalności, lub wytworna w wyborze słów i epitetów, jest w końcu nie mniejszem dziełem sztuki, niż słynne zachody słońca malarza angielskiego; większem nawet, gdyż literatura w środkach wyrażenia i wykonania jest daleko bogatszą, niż malarstwo. Kogo to obraża, iż Walter Pater wstawił w portret Monny Lisy coś takiego, o czem Leonard nigdy nie marzył? Słynny ten obraz pod piórem krytyka stał się daleko dziwniejszym, niż jest w rzeczywistości i objawia nam tajemnice, o których sam nie wie. Malarz zadawala się oddaniem pewnego układu linij, mas i pewnej harmonii barw, a krytyk wkłada w to wszystko własną swą duszę. I dlatego krytyka jest najwyższym rodzajem twórczości. Dla niej dzieła sztuki są tylko punktem wyjścia dla nowej twórczości. Ona bynajmniej nie powinna poprzestawać na wykryciu realnych intencyj artysty — i nawet nie może, gdyż sens każdej pięknej rzeczy zawarty jest nietylko w duszy tego, co ją stworzył, ale i tego, co ją ocenia.. Udział drugiego jest może pod tym względem jeszcze znaczniej-

szy: to krytyk wykrywa w utworach pięknych tysiączne ich znaczenia, robi je cudownymi dla nas, stawia je w coraz nowe stosunki względem nowych epok — gdy sam artysta może zepsuć swe dzieło nadmiarem celów intelektualnych. Skończone dzieło sztuki nabiera sensu niezależnego od siebie samego, piękno bowiem ma tyleż znaczeń, ile istnieje umysłów rozmaitych. Dla krytyka utwór artystyczny jest tylko suggestyą lub pretekstem do nowego utworu, który niekoniecznie musi być podobnym do tamtego. Można jednak zarzucić, iż krytyka jest subjektywna, gdy dzieło sztuki — objektywne. Różnica ta jest wszakże tylko pozorem. Każde dzieło sztuki jest zawsze podmiotowe. Hamlet jest spowiedzią myśli Shakespeare'a, a Romeo — namiętności. To dlatego, iż Shakespeare nigdy nam o sobie nie mówi, sztuki jego zupełnie go nam przedstawiają w najgłębszych tajemnicach jego umysłu, serca i temperamentu. Forma objektywna jest właściwie najbardziej subjektywną. Człowiek jest najmniej sobą, gdy nam o sobie powiada. Dajcie mu maskę, a mówić będzie prawdę. Wreszcie co do formy, krytyka taka bynajmniej nie jest ograniczoną. Może używać metody epicznej lub dramatycznej. Tak W. Pater w każdym ze swych „Imaginary Portraits" daje nam w formie wdzięcznej opowieści najdelikatniejsze szkice krytyczne. Dyalog był z drugiej strony tą formą literacką, która od Platona do Lucyana, od Lucyana do G. Bruna, od Bruna do Goethego i Renana największem cieszyła się uznaniem śród wielkich krytyków.

Wreszcie największą zaletą krytyka artystycznego, również jak i twórcy, jest temperament wrażliwy na piękno. Mniejsza o to, jakie warunki temperament ten wywołuje w rasach i jednostkach — dość, iż on istnieje, jako zmysł specyalny. On jest właściwością zasadniczą dla wszystkich, co się mieszają do sztuki, gdyż wszystko inne nabyć można, on zaś jest przyrodzonym.

Krytyka jest więc zarazem twórcza i niezależna i znajduje się w takiem samem położeniu względem dzieła sztuki, jak to ostatnie względem widocznego świata kształtów i barw lub niewidocznego namiętności i myśli. Ale niezależnie od wrażenia syntetycznego, które dzieło sprawia, jako całość, krytyk może jeszcze dać i analizę dzieła w jego częściach składowych. Kto chce dobrze zrozumieć Shakespeare'a, powinien wiedzieć, w jakim stosunku on się znajduje względem Renaissance'u, Reformacyi i wieku Elżbiety, musi być obeznany z historyą walki między dawną klasyczną szkołą Sidneya i Jonsona, a nową romantyczną Marlowe'a, powinien znać materyały, którymi rozporządzał Shakespeare i metody, używane przez niego przy ich opracowaniu: warunki przedstawień teatralnych w XVI i XVII w., stan krytyki literackiej z owych czasów — jej cele, formy, reguły; powinien badać postępy języka angielskiego, wiersza białego i rymowanego w ich rozwoju; studyować dramat grecki i zależność pomiędzy sztuką twórcy Agamemnona a sztuką twórcy Mackbetha — jednem słowem, musi być zdolny związać Londyn Elżbiety z Atenami Peryklesa i znać dokładnie położenie Shakespeare'a w historyi dramatu europejskiego i wszechświatowego. W tem wszystkiem zawierają się zadania krytyki czysto naukowej. Tylko wykład tak zdobytych rezultatów powinien być, zdaniem Wilde'a, jak można najbardziej osobistym. Tylko przy zetknięciu ze sztuką cudzoziemską sztuka każdego kraju zdobywa ten indywidualny i odrębny charakter, który nazywamy narodowością— i odwrotnie, tylko zdobywszy nader natężone życie wewnętrzne i wyrobiwszy sobie osobowość niezależną, krytyk może tłomaczyć osobowość i dzieła innych. Tłomaczenie to będzie tem słuszniejsze, zadawalające i przekonywające, im bardziej widoczną w niem jest osobowość krytyka. Jeżeli chcecie rozumieć innych, musicie rozwijać własny swój indywidualizm. W tym sensie można powiedzieć, iż dramat ma krytyka w osobie aktora, który pokazuje dzieło poety w nowych warunkach i za pomocą właściwej mu metody. Bierze pisane słowo i objawia je, tłomaczy za pomocą ruchów, czynów, głosu. Tak samo śpiewak, skrzypek lub fortepianista są krytykami kompozytora, gdyż krytykiem jest ten, co przedstawia nam dzieło sztuki w formie różnej od jego formy pierwotnej, a użycie nowych środków wykonania jest czynnikiem o tyleż krytycznym, co i twórczym. Takim krytykiem był malarz Mantegna, gdy starał się odtworzyć w swych obrazach piękno linij plastycznych i godność symfoniczną płaskorzeźb.

We wszystkich tych wypadkach krytyki twórczej osobowość wykonawcy jest czynnikiem zasadniczym wiernego tłomaczenia. Gdy Rubinstein gra sonatę „Appassioneta" Beethovena, daje nam nietylko Beethovena, ale i siebie samego — daje Beethovena tłomaczonego przez bogatą naturę artystyczną, ożywionego przez natężoną osobowość wykonawcy. Gdy wielki aktor gra Shakespeare'a, mamy toż samo doświadczenie. Jego własna osobowość staje się częścią żywotną interpretacyi, do tego stopnia, iż, jak powiadamy zwykle, aktorowie dają nam nie szekspirowskich, lecz swych własnych Hamletów— i inaczej być nie może. Jest faktem, iż nie istnieje nic takiego, coby można było nazwać Hamletem Shakespeare'a. Jeżeli Hamlet ma coś z określoności dzieła sztuki, ma także całą niejasność charakteryzującą życie. Istnieje tyluż Hamletów, co i rodzajów melancholii. A ponieważ sztuka wypływa z osobowości, więc tylko za pomocą osobowości może się objawić — i tylko spotkanie dwu osobowości — twórcy i wykonawcy— daje w rezultacie prawdziwe, krytyczne tłomaczenie dzieła sztuki. Krytyk, czyli tłomacz, ma więc rolę czynną, daje on tyleż co i otrzymuje, przedstawia nam dzieła sztuki w coraz to nowych stosunkach względem naszego wieku, przypomina nam wciąż, iż dzieła te są istotami, żyjącomi życiem najbardziej natężonem. Do tego stopnia, iż w miarę postępu cywilizacyi umysły wybrane będą coraz mniej interesować się życiem aktualnem i szukać swych wrażeń prawie wyłącznie w tem, czego sztuka dotknęła. Gdyż życie samo jest pod względem formy nadzwyczaj ubogie i pełne braków. Jego katastrofy dzieją się w sposób nienależyty i zdarzają się osobom nieodpowiednim. Jego komedye są pełne okropności, a tragedye kończą się farsami. Ono nas rani i razi, gdy się doń zbliżamy. Jego akcye trwają zbyt długo, albo też zbyt krótko.

Życie jest rzeczą zmniejszoną przez okoliczności, niezwartą w swym sensie i pozbawioną tej delikatnej odpowiedniości formy i treści, która jedynie może zadowolić temperament artystyczny i krytyczny. Nie należy bynajmniej udawać się do życia dla dopełnienia naszych doświadczeń. Ono każe nam płacić zbyt drogo za swe towary i sprzedaje najdrobniejszą ze swych tajemnic za ceny nieskończenie wielkie. Tymczasem sztuka! Słuchając Chopina, płaczemy nad grzechami, których nigdy nie dopuściliśmy się i umieramy w tragedyach, które nie są naszemi. Muzyka tworzy nam przeszłość, której byliśmy nieświadomi i napełnia nas poczuciem nieznanych smutków. Można sobie wyobrazić człowieka, który pędził nader pospolite życie i który naraz, wysłuchawszy muzyki Chopina, odkrywa, iż dusza jego nieświadomie przechodziła przez okropne doświadczenia, znała dzikie radości, romantyczne uczucia i wielkie wyrzeczenia.

Albo też weźcie „Kwiaty grzechu" Baudelaire'a — ta subtelna poezya przekrada się do waszego mózgu i zabarwia wasze myśli. Dusza wasza chwilę karmić się będzie zatrutym miodem rozpaczy i pełną będzie żalów i zgryzot, po przestępstwach, których nie dokonała, będzie olśniona strasznemi rozkoszami, których nigdy nie doświadczyła.

Sztuka jest najmocniejszym wyciągiem z życia. To ona powinna być naszą mistrzynią, gdyż łzy, które wyciska, zarazem pouczają i oczyszczają, jak słusznie Arystoteles powiada. Płaczemy, ale nie jesteśmy zranieni. Smucimy się, ale smutek nasz nie jest gorzkim. Tylko sztuka pozwala nam zrealizować naszą osobowość i dopiąć doskonałości. Ona uwalnia nas od banalnych niebezpieczeństw życia rzeczywistego. Zwykła ekonomia sił wymaga, abyśmy z niej zrobili mistrzynię życia, gdyż człowiek może sobie wyobrazić wszystko z łatwością, a najmniejsze wykonanie czynów realnych wymaga strasznych wydatków energii. Otóż energie duchowe są także ograniczone w rozmiarach swych, jak i energia fizyczna. Każdy z nas może czuć tyle i nie więcej, należy więc zrobić z tej wrażliwości rozporządzalnej jak najlepszy użytek. Tylko rozwój zmysłu krytycznego może nas doprowadzić do tego celu. On pozwoli nam, w połączeniu ze sztuką, zrealizować w sobie samych kolektywne życie rasy i w ten sposób doprowadzić naszą własną osobowość do najwyższego rozkwitu. Aby znać epokę obecną, współczesną, należy poznać wszystko, co ją poprzedzało i co na jej wytworzenie się złożyło. Aby zrozumieć cokolwiek w sobie samym, należy poznać wszystko w innych. Nie powinno być żadnej formy życia, z którąbyśmy nie mogli sympatyzować, ani też żadnej formy umarłej, którejbyśmy nie mogli wskrzesić. Żyjemy nietylko naszem własnem życiem, lecz także życiem naszych poprzedników i dusza, która tkwi w nas, nie jest istotą prostą, stworzoną tylko dla naszego osobistego użytku. Teorya dziedziczności pozwala nam przypuszczać, iż jest to coś, co przechodziło najdziwniejsze koleje w naszych przodkach ludzkich i zwierzęcych. Jest ona podległą mnóstwu chorób i ma pamięć zadziwiających grzechów. Jest ona mądrzejszą od nas i mądrość jej gorzka. Napełnia nas niemożebnemi żądzami: każe nam dążyć do tego, czego dopiąć nie możemy. Pozwala nam opuścić otoczenie i czasy, w których żyjemy i które są brzydkie, aby przenieść się do innych wieków, w których nie czujemy się wygnańcami. Pozwala nam uciec od własnych naszych mizernych doświadczeń i zrealizować doświadczenia tych, co byli więksi od nas. Cierpienie Leopardiego, przeklinającego życie, staje się naszem cierpieniem. Śmiejemy się wraz z nimfami i pastuchami Teokryta. Spoglądamy na jutrzenkę oczami Shelleya i błądzimy w miłosnym blasku księżyca wraz z Endymionem Keatsa. To wyobraźnia pozwala nam wskrzeszać te zanikłe formy życia, wyobraźnia, która jest skutkiem dziedziczności. Jest ona tylko skoncentrowanem doświadczeniem rasowem. Otóż kultura wyobraźni może się odbywać tylko pod kierunkiem zmysłu krytycznego. Prawdziwy krytyk powinien nosić w sobie marzenia, myśli i uczucia milionów pokoleń — wszystkie formy ich życia umysłowego powinny mu być dokładnie znane.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

BIBLIOGRAFIA. Wyszła z druku druga część „Poradnika dla samouków" pod redakcyą Piotra Chmielowskiego, Ludwika Krzywickiego i Adama Mahrburga (wydawnictwo Aleksandra Heflicha i Stanisława Michalskiego). W ogromnej książce obejmującej 695 str., zgromadzono cenne wskazów-

ki z zakresu nauk filozoficznych i historycznych. Dział nauk filologicznych: Językoznawstwo, opracował Jan Karłowicz, język polski — Adam Antoni Kryński, naukę literatury — Piotr Chmielowski, stylistykę (teoryę prozy) — Stanisław Mieczyński, poetykę (część ogólną) — Bronisław Chlebowski (opracowania — Ignacy Chrzanowski), krytykę — Piotr Chmielowski, język francuski — Karol Appel, niemiecki — Waldemar Osterloff, angielski — Herman Benni, filologię klasyczną — Michał Rowiński. Nauki historyczne: Wstęp — opracował Ludwik Krzywicki, historyę powszechną — Tadeusz Korzon i Szymon Askenazy, przy współudziale: J. K. Kochanowskiego, K. Króla i J: Homolickiego; historyę polską — Władysław Smoleński, historyę literatury powszechnej — Edward Grabowski, historyę literatury polskiej — Piotr Chmielowski, wskazówki dla pragnących zapoznać się z literaturą polską w wyższym zakresie — Bronisław Chlebowski, historyę sztuki — Ignacy Matuszewski, historyę nauki — Adam Mahrburg, historyę rozwoju społecznego — Ludwik Krzywicki, historyę filozofii — Adam Mahrburg, wreszcie wydania pism 60 wybitnych autorów polskich (do artykułu Chmielowskiego) ułożył Stefan Demby. Książka, pomimo niezwykle dużej objętości, kosztuje bardzo tanio: [illegible]

POEZYE

Z CYKLU „DUSZA."

Gość.

Ten dawny, dobry gość przychodzi do mnie,
Siada naprzeciw i ręce zakłada;
Ten dawny, dobry gość, ta sama, blada
Twarz i te oczy, tak smutne ogromnie.

Patrzymy na się... ileż to my razy,
Ileż to godzin tak, jak ot w tej chwili,
Tak my na siebie patrząc, przepatrzyli
I nie mówili nic — czem są wyrazy?!

Mój gość, ta postać cicha, smutna, blada,
Patrzy mi w duszę i tak mi w niej czyta,
Jak kochająca w kochanku kobieta —
Karta po karcie dusza się rozkłada.

I wszystkie swoje wyjawia goryeze,
I wszystkie smutki i tę swoją całą
Dziwną tęsknotę, której nieba mało,
I wszystkie swoje pragnienia dziewicze.

Bo każda ludzka dusza ma do końca
Dziewictwo swoje i swój wstyd czerwony
I nawet Bogu kryje się w zasłony,
Jak Ewa w włosów płaszcz, swój wstyd widząca

Lecz gość mój widzi całą moją duszę,
Zna ją oddawna i dobrze pamięta:
Widział ją, kiedy się czuła przeklęta
I kiedy duma kładła pióropusze.

Zna ją i zawsze — ilekroć li razy
Zjawi się u mnie, tenże sam ma w twarzy
Smętny półuśmiech i w oczach coś waży,
Ale nie mówi nic... czem są wyrazy?!

Kto jest? Nie pytam. Z ciemnego ukrycia
Nocy wychodzi, jak duch; snadź, z daleka
Idzie... To może jest ten rdzeń człowieka,
Co całą nędzę zna ludzkiego życia.

W godzinie smutku.

Bezdeń — samotność... Szczęśliwy, kto może,
Czując w swej duszy pustkowia otchłanie,
Oczy podniósłszy w niebo, wołać: Panie!
Szczęśliwy, komu Ty się jawisz, Boże.

Bezdeń, samotność... Na niebie i ziemi
Nic... Ani Ducha Bożego nad głową,
Ani tu ręki, czy serca.. Grobową
Pustką jest życie i w grób duszę grzebie.

Nic... jedno słowo... Zda się, że w tej chwili
Cały ocean głos by mógł przepłynąć,
Aby gdzieś w toni nieskończonej zginąć —
Żadne go ucho schwycić się nie sili.

Nic... Taka cisza przeraźliwie niema,
Jakby świat zginął. . Myśl się obłąkana
Staje tą bezdnią .. Na chmurach szukana
Boga twarz nie mgli się, a ludzi niema.

I tylko jakąś głąb wciąga i wchłania
Jakiś olbrzymi dech — duch się bezwładnie
Skłania i leci — jeżeli przepadnie,
Widać, że nie był godzien Oglądania.

Kaz. Tetmajer.

W DALI.

Witebsk. Miejscowe Towarzystwo rolnicze, pomimo zabiegów i usiłowań zarządu, jakoś nie może zyskać popularności powszechnej, gdyż prawie wcale nie dbają o to ziemianie okoliczni. Zebrania ogólne lekceważą, nie przybywają na nie, pomimo ważnych wniosków na porządku dziennym. Oto co pisze korespondent *Gazety Polskiej:* „Na ostatniem zebraniu liczono zaledwie dwadzieścia kilka osób, a w tej liczbie paru t. zw. gości. Jest to cyfra bardzo mała w porównaniu z zebraniami mińskiego Towarzystwa rolniczego, gdzie uczęszcza po 120—180 osób. A przecież i witebska instytucya usiłuje być użyteczną. Za jej to staraniem sprowadzono instruktora mleczarstwa, z którego porad, niestety, korzysta dotąd stosunkowo mała liczba ziemian. Na ostatniem zebraniu tenże instruktor (z ramienia ministeryum roln.) odczytał referat, w którym przedstawił korzyści, wynikające z zawiązywanych obecnie spółek mleczarskich i zachęcał ziemian witebskich do urządzania takich stowarzyszeń. Dotąd jednak słowa te brzmią, zdaje się, bez echa. Ze swej strony główni kierownicy Tow. rolniczego rozpoczęli starania w zarządzie kolei Rysko-Orłowskiej, w celu urządzenia wagonów-lodowni, ażeby podczas pory letniej produkty nabiałowe przewozić można było bez zepsucia. Dotąd jednak zabiegi pozostają bez skutku. Gubernia Witebska odznacza się znaczną produkcyą lnu. Ostatnimi jednak czasy handel lnem zmniejszył się a ceny na włókno i siemię spadły bardzo. Za jedną z głównych przyczyn tego zjawiska uważają tę okoliczność, iż siemię lniane, wyprodukowane na miejscu, jest o wiele gorzej oczyszczone, niż zagraniczne, a stąd i wartość posiada mniejszą. Wobec tego Tow. rolnicze witebskie postanowiło na zebraniu ostatniem zwrócić się do ministeryum rolnictwa z prośbą o przysłanie odpowiednich maszyn do lepszego oczyszczania oraz gatunkowania siemienia. Maszyny te mogłyby być umieszczone w jakimś punkcie środkowym, np. w Witebsku. — Bank witebski poniósł w r. z. znaczne straty, około 100,000 rb., z powodu niewypłacalności swych dłużników. Postanowiono odtąd zachowywać wielką ostrożność w wydawaniu pożyczek, ale to niedoboru pokryć nie może. Wogóle stan ekonomiczny gubernii do świetnych nie należy. W d. 13 stycznia r. b. w samym tylko akcyjnym banku wileńskim zastawionych dóbr z gub. Witebskiej było 1,103 na sumę 10,362,799. Dobra te obejmują łącznie obszaru 533,302 dzies.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Jeden z członków katolickiego Towarzystwa dobroczynności w Petersburgu złożył na ręce zarządu 1,200 rubli, osobiście przez niego zebranych, pod warunkiem, aby utworzono fundusz nietykalny imienia Adama Mickiewicza, z przeznaczeniem procentów na stypendya dla młodzieży, uczęszczającej do wyższych i średnich zakładów naukowych w Petersburgu.

— Zawiązało się Towarzystwo artystyczne w Warszawie.

— Ministeryum zatwierdziło ustawę kasy wzajemnej pomocy i przezorności techników w War[illegible]

Mianowania. *Prawit. Wiest.* ogłasza Najwyższe ukazy Imienne, których mocą gubernator radomski, Podgorodnikow, mianowany pomocnikiem generała-gubernatora warszawskiego: gubernator kowieński, Suchodolski, uwolniony od służby na własną prośbę: gubernator wileński, Czepielowski, mianowany gubernatorem witebskim; wice-gubernator wileński, łowczy Najwyższego Dworu, książę Gruziński, gubernatorem wileńskim; naczelnik kancelaryi generał-gubernatora kijowskiego, szambelan Najwyższego Dworu, rz. r. st. Rogowicz, gubernatorem kowieńskim.

Prasa. Do dziennika *Rosya* donoszą telegraficznie z Odesy, że senat wydał decyzyę, na której mocy autorowie i redaktorowie gazet, podlegających cenzurze, nie mogą być ścigani sądownie za potwarz w druku. Odpowiedzialność ponosi cenzor.

— Minister spraw wewnętrznych postanowił na mocy art. 154 ustawy o cenzurze i prasie zawiesić na osiem miesięcy wydawnictwo tygodnika *Zorza* w Warszawie.

— Pozwolono znowu na sprzedaż numerów oddzielnych gazet: *Ruskij listok* i *Narod*.

Szkoły. Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa wojskowych lekarzy weterynaryi w Warszawie roztrząsano sprawę reformy tutejszego instytutu weterynaryi, z powodu ogłoszenia w *Weter. Wiestniku* ustawy wzorowej zakładów tej kategoryi. Instytuty weterynaryi będą miały rozszerzone programy wykładów i przywileje, stawiające je na równi z innymi zakładami wyższymi. Utrzymanie roczne każdego instytutu obliczono na 97,750 rb., z czego 20,000 rb. przypada na pomocnicze zakłady naukowe. Obecnie zaś na utrzymanie instytutu warszawskiego wyznacza się tylko 19,000 rb. rocznie. Obecni na posiedzeniu uchwalili czynić starania, ażeby powyższą ustawę zastosowano również do instytutu warszawskiego jednocześnie z przeniesieniem go do nowego gmachu na Pradze.

— Wydział lekarski uniwersytetu tutejszego zwrócił się do władzy z prośbą o przyznanie zapomogi, w kwocie rb. 8,000, na klinikę psychiatryczną i chirurgiczną wydziałową.

Koleje i komunikacye. Dla uniknienia nieporozumień z powodu obowiązkowego nabywania kart na miejsce do siadania (Platzkarty) po 1½ rb. na niektórych kolejach (np. Warszawa-Brześć-Kijów), ministeryum komunikacyi wydało rozporządzenie, według którego karty te nie są obowiązkowe dla podróżnych, przejeżdżających tylko trzy stacye.

— Powstała spółka udziałowa, mająca na celu eksploatacye samochodów w Królestwie Polskiem. Sześć powozów, zamówionych we Francyi, przybędzie do Piotrkowa we wrześniu. Samochody zaczną kursować przedewszystkiem między Piotrkowem a Kaliszem, oraz między Piotrkowem a Tomaszowem.

Wystawy i zjazdy. Na polu Mokotowskiem w Warszawie odbyła się wystawa koni. Po jej zamknięciu w tych samych zabudowaniach otwarto wczoraj (tj. w piątek) wystawę inwentarza żywego.

— W Kaluidze otwarto wystawę wiosenną miejscowego Towarzystwa rolniczego.

— Na dn. 16, 17 i 18 b. m. w szkole średniej, technicznej Wawelberga i Rotwanda (Mokotowska 6) zapowiedziano wystawę rysunków ręcznych i graficznych, projektów technicznych, tudzież praktycznych robót ślusarskich, kowalskich, giserskich i mechanicznych, wykonanych przez wychowańców zakładu w warsztatach szkolnych. Dochód z przedmiotów sprzedanych będzie obrócony na wpisy dla uczniów niezamożnych tej szkoły.

Katastrofa. Na kolei Symbirskiej rozbił się pociąg towarowy. Ranieni: nadkonduktor, konduktor i smarownik.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Lucynie Czerwińskiej. Skoro wyszła książka, nie może już być w niej umieszczony list pani. Zresztą sam charakter wydawnictwa nie pozwoliłby na to, książka bowiem jest zbiorem prac literackich kilkudziesięciu pisarzy polskich. Sąd „jednego z tak zwanych wykształconych," o którym Pani mówi, jest tylko świadectwem jego ubóstwa umysłowego.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 4 І[illegible] 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.